

L. W.
AURELJA WYLEŻYŃSKA.

„KSIĘGA UDREKI”

POWIEŚĆ

W A R S Z A W A _____ 1926



154445

K-173/84

PANI
KONSTANCJI HOJNACKIEJ

I.

Marja i Krystyna szły Nowym-Światem. Wzięły się pod ręce, bo tłum ciągle je rozdzielał. Zresztą i tak trudno było mówić... A po długim rozstaniu miały sobie tyle do powiedzenia.

— Lepiej być ostatnią miłością swego męża, niż pierwsza, — zdecydowała Krzysia.

— Ja myślę... Choć tak może i praktyczniej?

— Ach, przecież nie o to chodzi... Tem się nikt chyba nie kieruje... Tylko nie smuć się że mój mąż znacznie odemnie starszy... Mogę być pewniejsza.

— A ile właściwie ma lat twój mąż?

— Czterdzieści siedem.

— O dwadzieścia pięć lat od ciebie starszy. Może to trochę za dużo?

— Zaczęłaś coś mówić...

Marja przytuliła się mocniej do Krzysi.

— Ja myślę... Pierwsza miłość... Zresztą do-
prawdy nie warto o tem mówić... Jesteś szczęśli-
wa — to dość. To nawet bardzo wiele. To najwię-
cej co można mieć. Cieszę się, że poznam twego
męża. Dobrze, żeście przyjechali do Warszawy!

— Marzę, żeby tu zamieszkać... Przenieść
się ze wsi... Tak lubię Warszawę! Czasem tę-
sknię...

— A... tęsknisz? Więc?

— Żadne więc... Ja ciebie znam. Już mnie podejrzujesz o nieprawdę.

— Krzyśka, co mówisz? Człowiek może kłamać, że nie jest szczęśliwy. Ale człowiek szczęśliwy nigdy nie kłamie. Zresztą, dość spojrzeć na ciebie. Ale widzisz, miłość to uczucie bezwzględne, dla kobiet naturalnie. Taka jak ty...

— Zaraz, zaraz lubisz podkreślać, żeśmy inne...

— Bo jesteśmy inne. Ty jesteś kobietą stworzoną do miłości i dla miłości, ja jestem... Czy ja wiem, czym jestem? Społeczniczka, lekarka... Ale twoje sprawy dobrze rozumiem.

— Bo ty wszystko dobrze rozumiesz.

— Może, może... I dla tego nic nie czuję... Ale o to mniejsza. Mówiliśmy o tobie... Przyznam się, że zdziwiła mnie twoja tęsknota za Warszawą... Taka kobieta, taka kobietka, jak ty, kochając, nie powinna za niczem tęsknić.

— No to tylko tak, trochę... Wiesz, ja nie wiele użyłam Warszawy. Pensja, potem ci bolszewicy, potem biuro... Teraz zakopałam się na wsi...

— A tak...

— Czasem pociąga mnie życie wielkiego miasta... Ale Henryk woli wieś... Tam tak cicho! Na wiosnę jest zawsze ślicznie, zresztą na wiosnę był nasz ślub, więc musi być ślicznie... Ale w jesieni, gdy wszystko obumiera, w zimie... Siedzimy we dwoje, ciągle sami... Z przyjemnością wyrwałam się na parę dni do Warszawy...

— Tylko na parę?

— Henryk nie może dłużej. Drenowanie, parcelacje...

Spojrzała na zegarek.

— Boże, szósta! Chodźmy prędzej! Muszę się przebrać do teatru.

— No to ja już dziś do was nie zajdę...

— Ależ i owszem. Będę się ubierać, ty będziesz rozmawiać z Henrykiem. Nawet to bardzo dobrze. Ubieram się długo, a on się niecierpliwi.

— Nie lubi żebyś się stroiła?

— Lubi, bardzo lubi. Ale tak jakoś po swojemu. Wiesz, on nie lubi mody.

— To bardzo rozumny człowiek.

— Rozumny pewno, ale nie dlatego, że nie lubi mody. Zresztą...

— Co zresztą?

— Lubi sam mnie ubierać. Rysuje jakieś kostjumi, a potem każe mi je szyć. Jabym się tak nie mogła pokazać w Warszawie! — Śmiała się. — Nawet nie we wszystkich w Sławoszewie... Mówi że każda kobieta musi się ubierać indywidualnie...

— Bardzo słusznie.

— Ale nie mogę wszystkiego opowiadać, bo by się gniewał... Już Europejski...

Szły do windy.

— Krzyśka, a klucz?

— Ach, nawet nie zajrzałam... Ale przecież Henryk jest w numerze. Czekaj. On zawsze czeka. Krzysia wpadła wesoło do pokoju.

— Jest moja Marja... Spotkałyśmy się na ulicy.

— Przedstaw mnie.

Wysoki, elegancki mężczyzna w smokingu, o twarzy pięknej i rozumnej, ale jakby zgaszonej, zbliżył się do Marji.

— Tyle słyszałem o pani... Pani jest jedyną przyjaciółką mej żony.

— Jedyną którą on uznaje. Pochlebne dla ciebie, moja droga. Bo on innych moich przyjaciółek nie lubi...

— Jestem przyjaciółką Krzysy, choć o wiele lat od niej starsza. Ale tak się jakoś złożyło...

Krzysia kręciła się po pokoju.

— Siadaj. Papierosa? Ryś, baw ją, ja idę się ubierać. — Pocałowała męża w czoło. — Byłam u fryzjera. Będę prędko gotowa.

Marja i Henryk siedzieli naprzeciw siebie, obserwując się wzajemnie ze spokojną ciekawością. Marja patrzyła na jesienną piękność Henryka on z przyjaźnią przyglądał się tej miłej osobce, którą jego Krzyśka bardzo kochała.

— Pani wybaczy... Ale zdaje się, że tak się lepiej poznamy, niż gdybyśmy sobie zadawali trud...

— Zapewne.

Znów milczenie. Z za drzwi wyjrzała czarna główka Krzysi.

— Co się stało? Dlaczego nic nie mówicie?

— Ubieraj się, dziecko...

— Nudzicie się?

Henryk wybuchnął śmiechem.

— Ona uważa, że gdy ktoś milczy, to się musi nudzić.

— Więc rozmawiajmy. Mówmy o dzisiejszej premierze...

— Dobrze. Mówmy o dzisiejszej premierze...

Po chwili zjawiła się Krzysia, już ubrana.

— Jeszcze muszę się zobaczyć w tem lustrze...

Podbiegła do wielkiego zwierciadła. Za nią szły zachwyczone spojrzenia męża i zdziwione Marji. Jak się zmieniła! Gdy ją zobaczyła przed godziną, myślała, że to dawna Krzysia, uroczy, rozpieszczony dzieciak, pełna wdzięku pierwszej młodości, której życie nie dało dostatecznie pięknej oprawy. Teraz, w tej ślicznej sukni, która ledwie udawała, że okrywa piersi i plecy, była niemal inna. Zginęła dawna nieśmiałość, każdy ruch, każde spojrzenie pełne były świadomości swego uroku.

— Krzyśka, co się z tobą przez te trzy lata stało?

— Kobieta — dzieło mężczyzny — żartował Henryk.

— Może. Widziałam ją kilka miesięcy przed ślubem. Gdy państwo się jeszcze nie znali. Teraz to inna kobieta.

— Tak. Bo teraz jest naprawdę kobietą.

Krzysia ciągle jeszcze stała przed lustrem. Przypinała kwiat do boku, poprawiała wielką szpilkę we włosach.

— Patrz, to szpilka babki Henryka. Z kości słoniowej... Ma już biedactwo blisko cały wiek. Ale teraz takie się nosi. A moja suknia? *Crêpe Georgette*...

Henryk spojrzął na zegarek.

— Bardzo panią przepraszam. Już czas...

— To ja przepraszam .. Tak się zapatrzyłam na pańską żonę.

— Można jutro do pani przyjść? Nie wiedzieliśmy, że się pani przeniosła do Warszawy. Kiedy nie przeszkodzimy?

— Po godzinach ordynacyjnych. Między szóstą a siódmą. Wtedy jestem zupełnie wolna. Bardzo proszę. A tymczasem do widzenia...

Krzysia z trudem odwróciła się od lustra.

— Do widzenia. A może poczekaś chwilkę, to ciebie odwieziemy.

— Dziękuję. Mam tu niedaleko chórą. Nawet się spóźniłam...

Gdy Marja wyszła, Henryk podbiegł do żony.

— Krzyśka!

— Co za dziwny wzrok!

— Krzyśka, powiedz mi... Dlaczego jesteś dziś taka piękna?

— Ucieszyła się.

— Doprawdy? Jestem piękna? Ach, Ryś!..

— Dlaczego?

— Jakto dlaczego? Może dla tego, że mam tę suknię.

— Ale to dla mnie, dla mnie?

— A dla kogóżby? — spytała z odrobiną nawiętnego smutku.

— Nie wolno ci... Dla nikogo... Nawet dla siebie... Pamiętaj!...

— Dla siebie? Czy to warto? Naturalnie, że dla ciebie.

— Suknia, tak śliczna, ale prócz tego... Coś w tobie, twojej twarzy...

— Musimy się śpieszyć! Daj płaszcz!

Z rozkoszą wtuliła się w miękkie futro.

II.

Krzysia z wielką ciekawością wchodziła do restauracji. Ale nie dała poznać tego po sobie, żeby się nikt nie domyślił, że pierwszy raz przysłała na kolację, do gabinetu. Chciała jednak powiedzieć tym wyfraczonym panom, którzy koło nich się kręcili, że to jej mąż, bo się jej wydawało, że patrzą jakoś zbyt swobodnie. Choć byli niezwykle uprzejmi i *correct*.

— Co będziesz jeść?

Pochyliła się nad białą kartą, ale niewprawne jej oczy próżno błądziły po długim spisie.

— Daj... Godzisz się na mój wybór?

— Naturalnie.

— Więc najpierw proszę przekąskę i wódkę.

Będziesz pić słodką, czy...

— Jaby m wolala żadnej.

— A, nie. Tak nie można... Chodzi tylko o to jaką wolisz?

— To już słodką...

— A potem...

Henryk tak długo naradzał się z kelnerem,

że Krzysia zaczęła się nudzić. Ale za to wszystko było doskonale i ślicznie podane. I tyle kwiatów...

— To tu nawet w późnej jesieni ubierają stół kwiatami... A na scenie narzeczony ofiarował papierowe róże...

Henryk uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie zawsze. Ale dziś są. Dla ciebie...

— Jak to dla mnie? Przecież nikt nie wiedział, że tu przyjdę?...

— A może kto wiedział? No, jedz małeńka.

Krzysia klasnęła w ręce:

— Muzyka! Tam za ścianą... „Banany“.

Jak miło jeść, gdy muzyka gra. No, ale chyba nie powiesz, że i muzyka dla mnie?

— A może powiem?

Przynieśli kawę i likiery.. Henryk coś szepnął kelnerowi.

— Do usług, panie dziedzicu.

Krzysia zaczęła się wachlować serwetą.

— Ach, jak mi gorąco! Widocznie piłam za wiele. Czemu ty mi pozwoliłeś tyle pić!... Mnie się zdaje, że ty mnie nawet kazałeś pić?...

— Zdaje ci się... A jeśli ci gorąco to... rozepnij suknię...

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem:

— Jakto? Rozpiąć suknię... Moja suknia taka wycięta...

— No to ją zdejm.

Oburzyła się.

— Co mówisz? Przecież jesteśmy w gabinecie.

— Nie bój się, nikt tu nie przyjdzie.

Obejrzała się. Ale w tej chwili zamglone jej oczy uderzyły o pociemniałe oczy męża.

— Ty taki jesteś dziwny...

Śmiał się:

— Jaki dziwny?

Objął ją szybko i cały pochylił się na jej piersi.

— Pommiesz mi suknię, — mówiła zmęczonym głosem.

— Więc widzisz sama, że musisz ją zdjąć...

— Nie chcę!

— Ja ci pomogę...

— Mnie się kręci w głowie...

— To się połóż... Na tej kanapce będzie wygodnie.

Zrobiła dwa kroki.

— Ależ ja iść nie mogę.

Wziął ją na ręce i ułożył wygodnie. Potem rozglądął się wokół, chwycił różowy szal Krzysi i zarzucił go na lampę.

— Teraz nie będziesz się wstydzić, że cie rozbiore...

— Ryś, jak można, — broniła się. — Tam ludzie, muzyka gra...

— Nikogo niema. Muzyka gra dla nas. Nic nie istnieje prócz nas... Usta, daj usta...

— Poczekaj, może ja sama... Rwiesz suknię.

— To nic...

— Ale jak ja wyjdę?

To nic. Otulisz się w płaszcz.

Ocknęła się i popatrzyła niepewnym jeszcze wzrokiem. Obok niej leżał Henryk.

Jaka ty dziś cudna byłaś... Ty taka nigdy jeszcze nie byłaś...

— Mnie się zdaje... że ja... mnie jakoś wstyd.

— Dziecko, czego wstyd?

— Jak ty to wszystko urządziłeś? Trochę to dziwne...

— Co cię dziwi?

Wino poddało jej myśli, któreby kiedyindziej do główki nie przyszły.

— Tak, jakbyś tu już kiedyś był... Nie sam... Zaszła się śmiać.

— Byłeś tu? Z jakąś kobietą?

— Czy ja pamiętam gdzie byłem i z kim! Tu, czy gdzieindziej, to wszystko jedno... Nie pamiętam...

Żrenice jej się rozszerzyły. Oczy stały się jasne, niby przejrzyste szafiry.

— Henryk!

— Krzyśka, ty moja, Krzyśka! Nie myśl nic. Ja nic nie myślę. Leż cicho, spokojnie... Moje jedyne, ukochane dziecko... A ja będę cię całować... Całą... Zacznę od włosów, a skończę... Nie, nigdy nie skończę...

III.

Nisko sunęły mgły jesienne. Między wzgórzami porozwieszały swe brudne opończe, tak że zamknęły wszystkie drogi. Dwór w Sławoszewie odgradziły od świata. Krzysia wyciągnęła Henryka na spacer, bo chciała koniecznie wiedzieć, co się za mgłami dzieje.

— Za mgłami są znowu mgły.

— A może nie? Chodźmy.

Szli równym, miarowym krokiem po elastycznej ziemi. Krystyna przytuliła się do ramienia męża i cicho mu się zwierzała:

— Wiesz, jak to dziwnie. Jeszcze wczoraj było tak pięknie... Drzewa stały bujne i żywe, a dziś, nagle, niby jakiś ból przez nie przeszedł, trucidną swą zaszczepiając. Pożółkły liście, jak przez noc męki włosy, posiwiały. Patrz na las, dom żaloby, z którego zmarłych niedawno wyniesiono. Taki dzień, o którym Baudelaire mówi, pamiętasz? że do dna duszę przenika...

Spojrzał na nią ciekawie.

— Dlaczego tak patrzysz, Ryś? ...
— Bo ... dziwię się. Ty tak nigdy nie mówiłaś.

Ucieszyła się:

— To było tak mądrze? ..

— Nie dziecko, tak smutnie.

Milczenie.

— Opowiadaj coś dalej, Krzyska ...

— Wiatru najwięcej się boję. Wicher idzie w bogatym orszaku, jak król potępionych. Poddani jego, w fantastycznym tańcu, hołd mu składają ... Tuman bursztynowo-złoty, liście zdradne w krwi umyte ... Wicher bujał gdzieś daleko, na szczytach gór i nad potoczystemi rzekami ... A teraz przyjdzie tu, do nas ... W szalonym pędzie okręci się nad wierzchołkami drzew, nawałnicą zleci na puste pola, będzie hulać i wyc, walczyć z opierającymi mu się gruszami. A potem, czy ty słuchasz? potem w kilku susach będzie już nad naszym domem, w parku zawiedzie swój piekielny tan ... Będzie przeraźliwie gwizdał w kominie, będzie szarpał nasze okna ... A może złęknie się ciszy, co z za okien wygląda?

Henryk przycisnął drżące ramię żony.

— Napewno złęknie się tej ciszy. Wiesz, co mnie uderza w twoich słowach? To, że jesteś bardzo interesowna. Stawiasz przyrodzie swoje wymagania. Nie dość ci, że jest, jaka jest. To dla ciebie za wesoła, to za smutna.

— Wiesz, gdy tu przyjechałam. zdawało mi się, że dawno już nie byłam na wsi ... Te nasze Koturzyńce takie dalekie ... Wszystko mnie bawiło. Ale teraz, to prawda, chciałabym dyktować swoje prawa ... Żeby zawsze była wiosna ...

— Ty jesteś w tym wieku, kiedy uznaje się tylko jedną porę roku — wiosnę.

— A tak, ona najpiękniejsza.

Zaśmiał się:

— Wiosna najpiękniejsza? Widzisz, wiosna to jeden ton, jedna barwa, jeden nastrój. Drzewo ma świeżość trawy, powietrze ma zapach kwiatu. Ciągłe to samo, wesołość, nadzieja ... Jesień to bogactwo i różnorodność.

Krzysia już widocznie myślała o czym innym.

— Dlatego, że mi tęskno do miasta, nazywasz mnie mieszcuchem. Naturalnie z pogardą A ty sam? Przecież dawniej nie siedziałeś ciągle w tym swoim Sławoszewie ...

— A nie.

— Jeździłeś gdzieś po świecie ... Ale do prawdy, to ja tak mało wiem gdzie ... Z twojej przeszłości ...

— Niema nic interesującego w mojej przeszłości. To tylko przeszłość. Niema jej, nic po sobie nie zostawiła. Moje życie zaczęło się na nowo, trochę zapóźno ... gdy ciebie poznałem.

— Ale tam? Tam gdzie była wiosna?

— Może. Już prawie nie pamiętam.

— Wiosna z wesołością i nadziejami.

Zwrócił się do niej szybko:

— A, jaka ta mała złośliwa ... Była wiosna — i ze złudzeniami. Teraz tego niema. Jest spokój, cisza ...

Objął ją i popatrzył głęboko w oczy. Kocham ciebie, ty moje, drogie dziecko. I ty mnie kochasz, prawda?

— Kocham.

— Czegóż więcej trzeba? Jest nam dobrze i zawsze będzie dobrze, prawda?

— Prawda — powtórzyła poważnie.

— Wracajmy do domu. Mgła coraz gęstsza. Chłodno. Możesz się zaziębić.

Szli w milczeniu. Krzysia patrzyła na park i dom, takie dziś inne, niby z bajki. Modrzewiowa aleja usłużnie układała się w szereg łuków triumfalnych, kasztany w gmatwaninie swych ga-

Iż się stawały się potwornymi kulami sadzawka otulona mgłą, patrzyła jak martwa żrenica. Szybko, coraz bardziej, coraz bardziej, tonęło wszystko w mroku. W tem przejrzystym, ruchliwym morzu, światła bijące z wielkich okien, wyglądały jak złote słońca rozhuśtane na niewidzialnych sznurach.

Krzysia szybko wbiegła na ganek. Nie zdejmując płaszcza, szła z pokoju do pokoju. Rozglądała się wokoło: oto dom, którego granicami zakreślone jej życie. Zawsze ona tu będzie i zawsze wszystko tu będzie, takie same. Najwyżej pokryje się na nowo meble. Choć kto wie? Są tak stare, że jeszcze długo mogą służyć. Oczy jej opierały się na każdym sprzęcie, szukając przyjaciół i sprzymierzeńców — na całe życie.

Pierwszy raz przyszło jej to na myśl, ale tak jasno, tak pewnie. Wielki salon oświetlony był tylko światłem padającym z drugiego pokoju, — podeszła do drzwi, prowadzących na werandę. Patrzyła w ciemny, smutny park i ożywiła go swymi snami... Po żółtym piaskiem wysypanych drogach będą biegać dzieci, jej dzieci... Będą się bawić i rwać kwiaty... Uśmiechnęła się blado do tego obrazu.

Nagle podeszła do wielkiego zwierciadła. Nie jedna pani Stawoszewa już w niem zasięgała rądy. W lekko srebrzącej się tafli odbijała się jej wysmukła postać. Młode piersi rysowały się krągłymi plamami, kształtne biodra zakreślały łuki. Oczy w białej, w tej chwili nieomal widmowej twarzy, gorzały jak płomyki... Taką jest dzisiaj. Za dziesięć lat będzie tęjsza. Panie na wsi szybko tyją. A za... nie wie za ile lat, jej czarne włosy będą siwe, jej błyszczące oczy zmatowieją, jej gorąca cera stanie się żółta. A kiedyś, to już nawet nie będzie miała ochoty patrzeć się w to lustro... I uśmiechała się przyjaźnie do każdej siebie, od-

chodzącej z czarodziejskiego zwierciadła w głąb pokoju. Szczególnie do tej, która już się radzić, ani pytać o swą piękność nie będzie miała ochoty...

Wszedł Henryk.

— Czegoś mi tak uciekła?

— Chcę zobaczyć ten dom, w którym zawsze będę mieszkać...

Wybuchnął szczerym śmiechem:

— To dobre! Dopiero dziś przyszło ci to na myśl?

Podniosła na niego swe nagle niespokojne oczy:

— Wszystko zawsze tak będzie?

— Co droga? Tyle rzeczy wciąż się zmienia... Życie pełne jest niespodzianek. Ot i za chwilę... Chodź do swego pokoju...

Żartobliwym ruchem kupczyka zachwalał rozłożone na stole przedmioty:

— Najpiękniejszy jedwab — żółty, różowy, niebieski... Pastelowe gazy... Cieniuchny batyst, *crêpe de chine*... W słóczkach — farby francuskie, za te tylko gwarantuję... Nie zalewają konturów... Wosk pszczelny, czysty, najprzedniejszy... Flaszeczka ze spirytusem denaturowanym... Przyrządek, zwany kostką, do usuwania wosku z miejsc przeznaczonych na maczanie w farbie... Oto wszystko, co potrzeba do batikowania... A tu jedyny praktyczny przepis...

Zdziwiła się.

— Chciałaś to mieć... Kupiłem w Warszawie. Ale postanowiłem dopiero dziś...

— Ja chciałam?

— A tak, wspominałaś kiedyś...

— Może. Nie pamiętam. Ale bardzo ci dziękuję. Spróbuję. Czy mi się uda?

— Ach, nie wątpię... Masz takie zgrabne rączki... Będzie zajęcie na zimowe wieczory.

— Ty jesteś taki dobry! Zawsze myślisz o mnie...

— Tak. Ja zawsze i wciąż myślę o tobie.

IV.

Henryk wszedł do sypialni. Krzysia stała przy szafie z bielizną i nawet nie odwróciła głowy

— Co robisz?

— Wiesz, te koszule...

— Są śliczne...

— Tak, ale...

— W każdym razie ty w nich jesteś śliczna.

— Pewno. Ale... one już nie są modne.

Henryk śmiał się wesoło:

— Koszule nie są modne!.. Wy tę modę doprowadzacie do absurdu. Czego im brak?

Krzysia zaczęła poważnie tłumaczyć:

— Widzisz, teraz o to chodzi, żeby strój kobiecy był jak najmniej skomplikowany...

— To bardzo rozsądnie...

— Nie nosi się nic, prócz koszul i majteczek.

Nawet można dwie rzeczy razem połączyć... O gorsetach, staniczkach niema mowy.

— Niema mowy!

— Więc koszula musi spełnić to zadanie, które dawniej tamte rzeczy...

— Bardzo wzniosłe zadanie!

— Ty się śmiejesz. Ale widzisz, muszą być tu, — wzięła z półki biały płat batystu, pocięty walansjenkami, — pod piersiami dziurki do przewleknięcia wstążeczek. Takie same na plecach. Te wstążki ściąga się silnie i one podtrzymują...

— Mnie się zdaje, że twoje piersi...

Spuściła skromnie oczy.

— Mnie się też zdaje... Ale tak będą ładniejsze...

Dziwił się:

— Jeszcze ładniejsze?

— Jeszcze.

Henryk spojrzał uważnie na żonę:

— Kto ci to radził?

Zarumieniła się:

— Pani Zofja...

— A, pani Zofja. Zauważyłem, że ona w ostatnich czasach zbyt się zajmuje twoją edukacją. W pewnym kierunku...

— Ona ma rację. Ja myślę to samo...

— Myślisz to samo? No i jaki rezultat twojego myślenia?

— Właśnie, że niema rezultatu! Ty mi poradź. Ja nie wiem, czy potrafię...

— Co czy potrafisz?

— Ładnie porobić te dziurki, trzeba, żeby były bardzo ładne. Batyst taki cienki... To tak trudno...

— Więc co ci mam poradzić?

— Możeby Rózię sprowadzić na kilka dni? Ona to najlepiej robi...

— Dobrze. Sprowadzimy Rózię.

Podszedł do drzwi i zadzwonił. Przybiegła pokojówka.

— Kasiu, pójdz do stajni i powiedz Walentemu, żeby Józek zaprzął gniade do bryczki... Nie, lepiej ogiery, dawno nie chodziły. Pojedzie do miasteczka po pannę Rózię.

Służąca wyszła.

— Krzyśka, jesteś zadowolona? Widzisz, jaki dobry jestem do rady.

— Bardzo, bardzo... Ty taki miły, zawsze zrobisz co zechcę... Ona może mi też uszyć tę ciepłą suknię. I jeszcze coś się znajdzie do przerobienia.

— Naturalnie.

V.

W zapadającym zmroku leżał na otomanie.
Weszła szybko.

— Jeszcze śpisz — ty śpiochu!

— Nie, nie śpię już. Czemu jesteś taka wzburzona?

— Wyobraź sobie zgubiłam na spacerze mój kochany bursztyn.

— Krzychna, nie będziesz chyba płakać?

— Łańcuszek się zerwał... Spadł gdzieś w śnieg... Wracalam, taki głęboki śnieg... Nie mogłam znaleźć.

— To nic, kupimy inny.

— Ale ja nie będę mogła obejść się bez niego... Ani jednego dnia... To straszne.

Śmiał się.

— Dziecko, nie będziesz mogła się obejść? Niema na świecie rzeczy, ani nawet osoby, bez której...

Nie zwracała uwagi na jego słowa.

— Gdybyś ty był ze mną! Możebyś znalazł. Ale ty wolisz tu leżeć i spać...

— Nie spałem.

— A cóżeś robił? Już ciemno.

— Myślałem. I właśnie o tobie.

— Ale nie o moim biednym bursztynie?

— Wyobraź sobie, że nie mam zdolności telepatycznych.

— A o mnie... co myślałeś?

Zbiegły się jej groźnie brwi.

— Ty coś za dużo i często o mnie myślisz!

— Ani za dużo, ani za często. Tylko ciągle i zawsze. To ci się nie podoba?

Pochyliła się nad nim ciągle jeszcze chmurna.

— Może... czasem... Ale co myślałeś?

— Myślałem... Wstyd mi powiedzieć. Nie, zresztą nawet nie o tobie. Tylko o miłości.

— To wszystko jedno...

— Ach, jaka zarozumiała! Wiesz, to jednak prawda. Dla mnie dziś miłość i ty — to jedno. Myślałem... Jeśli się kogoś kocha, to się w niego kocha wszystko, bez żadnych zastrzeżeń. Jedno zastrzeżenie to już brak miłości. Ja... Czasem się dziwię samemu sobie... Tak ciebie kocham! Są w tej rzeczy nieomal śmieszne... Patrzyłem dziś rano jak szłaś przez pokój. Za tobą biegła twoja sukienka... Zamykam oczy i widzę każdy twój ruch i każdy kocham... Nawet nie wiem, czy ty jesteś piękna? Właściwie, to tylko pamiętam, że jesteś piękna...

Oburzyła się.

— No, uspokój się mała, siadaj wygodnie. — Pociągnął ją ku sobie i objął ramieniem... Tak, pamiętam, bo gdybym nie pamiętał, a ktoś mnie spytał, to powiedziałbym: „Dlatego, że ty jesteś ty, a ja, jestem ja“. Ale dobrze pamiętam... Taką piękną zobaczyłem cię wtedy w teatrze... Spojrzałem i już nie spuściłem z ciebie oczu. Grano Butterfly. Patrzyłaś na scenę z ciekawością, ale jak naiwnie! Patrzyłaś, nie przeżywałaś... Bo kto sam cierpiał... Zrozumiałem wtedy, że nigdy, nikogo nie kochałaś. Żadna męka miłości nie jest ci znana.

— Za to mnie pokochałeś?

— Nie, nie za to. Zresztą nie kocha się z jakiegoś powodu. France, gdzieś mówi, że prawdziwie kocha się tylko bez powodu. Kocha się dla tysiąca rzeczy, o których nikt nie wie i o których samemu się nieraz nie wie. Na tem polega tajemnica miłości. Dla tysiąca nikomu nieznanym zalet, a może więcej jeszcze, wad? Bo wady to kto wie, czy nie najistotniejsza część człowieka.

Zdziwiła się.

— A tak, maleńka. Dla wad, nie kocha się mniej. Może się tylko więcej cierpi... Bo kochać kogoś za to, że jest dobry, piękny... A jeśli przestanie być dobrym i pięknym?

— A jeśli znajdzie się powód do kochania, to też nie wypada już kochać?

— Ty brzydka złośliwa. Dla jakiegoś powodu kocha się tylko wtedy, gdy się jest... bardzo młodym. Kiedy ułamek życia bierze się za całość. Posmutniał. — Dlaczego ty mnie kochasz, Krzyśka?

— Myślisz, że ja cię kocham z jakiegoś powodu?

— Nie wiem, boję się...

— Nie mówmy o tem. No, wyciągnij się lepiej, wygodniej... Ot tak... Moja maleńka, moja dziecina, moja słodka... Krzyśka ty moja!

VI.

Siedzieli w złotawem, ciepłym świetle wybatikowanego przez Krzysię abażuru. Henryk głośno czytał „Przełom“ Kellermanna, a ona, cała wsłuchana, leniwie i niedbale robiła jakieś ścięgi na białej serwecie.

— Dlaczego przerwałeś? Zmęczyłeś się? W tak zajmującym miejscu? Może ja będę dalej...

— Słyszałem dzwonki. Poczta.

Służący wniósł dużą torbę skórzaną, z całym ceremonjałem oddając klucz panu domu. Henryk otworzył.

— To do mnie — z banku. To też do mnie — przypatrywał się kopercie, — nie wiem od kogo...

Krzysia się niecierpliwiła:

— Zobaczysz potem. Co jeszcze?

— To dla ciebie i depesza do ciebie.

— Depesza? — Rozerwała ją szybko. — Od

Marji. Ach, przyjeżdża, jutro wieczorem. Zakryła twarz rękami i powtarzała jak dziecko: — Tak się cieszę, tak się cieszę!.. Wiedziałam, że będzie coś dobrego. Już dziś rano wiedziałam... Gdy się zbudziłam...

— A listu nie otworzyłaś?

— Zapomniałam. Wiesz, gdy mi coś radość sprawi, mogę zapomnieć o całym świecie.

— Taką ci Marja radość sprawiła?

— Ach, jaką! Będę z nią mówić, mówić...

— O czem?

— O wszystkim.

— O wszystkim? A ze mną nie mówisz o wszystkim?

— Tak, ale jakoś inaczej...

— Marji więcej powiesz, niż mnie?

— Więcej, bo ona... — długo szukała argumentu — bo ona mniej mnie kocha, niż ty. Nie... nie dlatego... Bo ona jest kobietą...

— A jeszcze niedawno dowodziłaś że nikomu tego nie mówisz, co mnie?

— Tak, może...

— Coś się zmieniło?

— Nie, nic się nie zmieniło, tylko że ja miałam wtedy mniej do mówienia...

— Krzyśka!

— Zasmuciłeś się? Nie smuć się... Nie gniewaj... To pewno tak być musi.

Henryk podszedł szybko do żony. Podniósł jej głowę, żeby światło padało na oczy.

— Czego nie możesz mi powiedzieć? Czego nie chcesz, żebym wiedział?

— Ryś, daj spokój. Ja nie wiem. Może coś źle powiedziałam?

— Nie chodzi o to źle, czy dobrze. Chodzi o to coś powiedziała.

— Ja nic nie wiem...

— Bronisz się? Dziecko, czego ty się bro-

nisz? — przedemną? Ja przecież pytam ciebie, jak twój najbliższy, twój przyjaciel...

— Zostaw mnie, zostaw... Nie wiem.

Henryk spojrział badawczo na żonę:

— A coś myślała, gdy czytałem? Powiedz, coś myślała?

— Ach ty wiesz, że o tem... Nie, ja nic nie myślałam...

— Wykręcasz się, Krzyśka, a miałaś mi zawsze prawdę mówić. Pamiętasz, obiecałaś...

— Nie teraz, nie teraz... No, nie męcz mnie.

— Dobrze. Nie teraz. Nie będę ciebie męczyć. Ale powiesz mi jeszcze dziś wieczorem.

Palił się roztopiony szafir nocnej lampki, wieczystej lampki ich miłości. Leżała w łóżku. W wezglowiu miała kręcone kolumnienki, u nóg — alegoryczne postacie. Ogromnie lubiła te figurki z dębu, co udawały noc i poranek. Noc śpi, okrywający wstydliwie swe tłuste ciało, a poranek przeciąga się, pyzaty, jeszcze zaspany, z odrobiną błękitnego światła na swym wytartym przez wieki — policzku. Ale dziś była poważna, choć w tem wielkiem gdańskim łożu wyglądała jak trzecia zabaweczka. Uczuła nagle chłód i szczerlnie owinęła się kołdrą. Znikła pod nią cała. Tylko mała główka na tle czarnych, luźnie różową wstążką związanych włosów, odcinała się od bieli koronek.

— Przyjdę do ciebie, będzie lepiej rozmawiać.

Zaczęła się znów bronić:

— Właściwie, to nie mam ci nic do powiedzenia.

Pochylił się nad nią z piśczotliwym uśmiechem:

— Przecież i tak, bezinteresownie, możesz być dobra i gościnna?

Gładził jej białe ramię, które wysunęło się z otwartego rękawa koszuli:

— Ty masz śliczne ręce. Całe. Kobiety rzadko miewają ładne ramiona i ręce. Ty masz śliczne.

Serdecznie się ucieszyła, udała jednak niepewność:

— Doprawdy?

Podniosła ręce do góry i długo się im przyglądała, a potem z szafki nocnej wzięła małe lustro w srebro oprawne i odrzuciwszy kołdrę i odsłoniwszy więcej koszulę, w pozie renesansowej Wenus, pogrążyła się w kontemplacji.

— Anna Karenina miała takie śliczne ręce, jak ty... Wroński tak się niemi zachwycił... Kobiece ramię ma dwie, napozór sprzeczne role do spełnienia. W prawdziwej miłości one się ze sobą zlewają... Ramię nęci, wabi, zabiera, chłonie, druzgocze... Ramię otula, osłania, kołysze, usypia... Swym białym łukiem odgradza od światła zła i niepokoju, daje ciszę i słodcz. schronienia... Śledził Krzysię niespokojnymi oczyma. — Może już dość?

Obróciła się z dziecinnym grymasem na ustach:

— Proszę... To ci się nie podoba? A kto mnie tego nauczył? Nie pamiętasz? Zapomniałeś? Ja myślałam... A ty powiedziałeś, że nie tylko można, ale trzeba. Że jestem piękna i wolno mi moją piękność uwielbiać... A co, nieprawda?

— Prawda. Ale teraz... ty trochę zanadto myślisz o sobie...

Odłożyła lustro i przymknęła oczy. A on siadł na brzegu łóżka i zaczął lekko dotykać ustami jej włosów. Odsunęła go. Twarz jej przybrała wyraz decyzji — oczy były skupione i zarazem zagadkowe:

— Czy to wszystko prawda? Czy to możliwe?

— Co dziecko?
— To, co czytałeś... u Kellermanna.
— Te okropności wojny? Znasz je sama. Już nie pamiętasz?
— Nie. Nie to. Ale te sceny...
— Jakie sceny?
— Te zabawy... stroje... tańce... pocałunki...
— Ach, to ciebie zajęło i... zdziwiło?
— Myślałam, że to robią tylko kobiety z półświatka. A tam wszystkie. Jakby im było wolno...
— Demoralizacja powojenna. Wyjątkowe okoliczności... Ta niepewność życia...
— Więc i u nas?
— Ach nie, u nas... Weź pod uwagę, że to Berlin, siedlisko zepsucia i rozpusty, że tam ludzie przeżarci są duchem pruskim...
Czuł niesmak do siebie za te słowa.
— Co ma do tego duch pruski? Mnie się zdaje, że to jakieś okropne, rozpaczliwe wołanie o życie... Właśnie, gdy to życie wisi na włosku... Może więc i u nas?
— Nie, nie, zresztą to zależy od sfery...
— A mówiłeś kiedyś, że niema kobiet źle i dobrze prowadzących się, lecz że są kobiety z temperamentem, lub bez temperamentu... Pamiętasz? Mówiłeś? Wiesz kiedy? I wiesz dlaczego?.. — Popatrzyła na niego nieomal wrogo.
— Krzyśka!
— Daj spokój. Nie mówiłeś?
— Tak...
— Ta książka jakoś mnie zdenerwowała. To wszystko takie dziwne.
— To są miłostki, nie miłość. To są chwile szału... Potem przychodzi przesył, rozczarowanie, nuda...
— Dobranoc.
— Ty to wszystko dobrze znasz...

Zdawał się nie zauważyć ironji w jej głosie:
— Ale miłość taka nasza... To coś innego...
My kochamy się nie tylko ciałem, nie tylko chwilą...
— Wiem o tem. Nieraz mi to mówiłeś...
— Ale i ty sama...
— Tak, mówiłam. Ale dziś nie chcę.
Leżał cicho bez ruchu, bez odwagi powiedzenia jednego słowa.
— Zgaś światło i idź do siebie.
Podniósł się posłusznie i cicho pocałował jej rękę.

VII.

Krzysia cały dzień rozmyślała nad tem, jak przystroić dom na przyjazd Marji. Poszła do oranżerii i wybrała najpiękniejsze wazon, wbrew woli pana ogrodnika, pościrała miesięczne róże.

Miała długą konferencję ze starym Antonim w sprawie serwisu. Który ładniej wygląda wieczorem? Służący trochę się dziwił, że tyle „zachodu” dla jednego gościa, ale chętnie służył doświadczoną radą.

— Bo to proszę pani dziedziczki, gdyby na obiad, tobyśmy dali jangielski fajans. Ale on ładny tylko w dzień. Teraz, to myślę lepiej ten serwis w brązowe liście, koryncki, czy jak się on tam nazywa? Co to ma podobno sto lat. Niema to jak stare...

Naraziła się na śmiech Henryka, gdy go spytała, którą suknię ma włożyć?

— Ja myślę, że nie potrzebujesz się przebierać.

— A właśnie, że muszę. I ty też. Włóżysz czarne ubranie. Wszystko ma być dziś bardzo piękne.

— Nawet ja?

— Ty jesteś zawsze bardzo piękny, ale...

— Ale księżniczka na szklanej górze jest jeszcze piękniejsza...

Śmiała się i przewracała szafę do góry nogami.

— To nic... Kasia wszystko poukłada.

Wybrała suknię koloru morskiego piasku, ślicznej, młodej sarenki, jak kto chce, gładziutką, miękką, jednolitą, tylko jakieś *brin* zielonego przy szyi i rękawach. A potem niecierpliwie czekała siódmej godziny.

Marja, ożywiona drogą i nadzieją kilkudniowego odpoczynku, rozmawiała wesoło przy kolacji.

— Będę państwu opowiadać ploteczki warszawskie.

— Opowiadać ploteczki warszawskie!

— Muszę przyznać, że Krzyśka nie była nigdy pilna...

— To są ploteczki warszawskie?!

— Zaraz, zaraz. Poczekaj! Pan wie, że ją przez cały rok uczyłam higieny... czy czegoś tam takiego. I tak się stało, że zostałyśmy przyjaciółkami.

— Ty, choć już byłaś lekarką, nie wyglądałaś o wiele poważniej od niektórych ze swych uczniów.

— Jakże było z tą pilnością Krzysi?

— Nie była pilna. Była tylko ciekawa wiedzy. To też dużo znaczy.

— Dowód inteligencji. Ta mała jest bardzo inteligentna. To się często kresowym panienkom zdarza.

— Mówisz o mnie jak o dziecku.

Henryk rozkochanym wzrokiem objął żonę, a ona prosiła dalej:

— No, więc ploteczki warszawskie...

— Wiecie państwo, jaka najważniejsza? Ładosiowie się rozstali.

— Jakto, dlaczego? To, takie kochające się małżeństwo...

— Moja droga, kochające małżeństwo przestaje niem być, skoro jedna strona już nie kocha... Krzysi uszka zapłonęły.

— On, czy ona?

— Ona.

— Pewno pokochała kogo innego. Ach, to zabawne!

— Krysiiu, *taisez-vous à cause du service...*

Marja ze zdziwieniem spojrzała na Henryka:

— To taka codzienna rzecz!

— Tak? W każdym razie możemy o tem pomówić przy czarnej kawie.

Krzysia zasmuciła się:

— Ty zawsze coś wymyślisz... Maryś, jedź prędzej krem. Taka jestem ciekawa...

Przeszli do gabinetu.

Henryk kręcił się przy stoliku.

— Likieri, jak mówi Krzysia, to moja specjalność. Wybrałem *Souverain'a*. Dobrze, mała?

— Dobrze, doskonale. Tylko, Antoni, proszę dać cytrynę i maszynkę do wyciskania. Nie masz pojęcia Maryśka, jakie to pyszne!

— A to z ciebie smakoszka!

— To nie ja, to Henryk... Tylko, że on mi rzadko pozwala pić. Dziś można, prawda? A tobie, kochanie, dobrze?

— Bajeczny fotel. Dobrze, wygodnie. Utonęłam w nim cała i zapomniałam o wszystkim. I tak beztrósko. Rzadko miewam takie chwile, jak dziś... zupełnego odpoczynku. Kiedy mi wolno o niczem nie myśleć... — Rozglądała się po ścianach, zakrytych książkami. — Tyle książek! Nieraz całe miesiące czekam, żeby móc jakąś dobrą książkę przeczytać!...

- Dużo masz zajęcia?
- Mam dużo. Bo muszę mieć dużo.
- Tak, matka, siostra...

— Wiesz, czem staram się powetować brak wrażeń, płynących z czytania? Bezpośredniemi patrzaniem w życie. Czego ja nie widzę!...

Krzysia przypomniła sobie rozpoczętą przy stole rozmowę.

— A prawda... Nie skończyłaś... Henryk nie pozwolił. Więc Ładosiowie rozstali się? Ona pokochała...

— To już koniec, moja droga. Teraz jest z tym człowiekiem, którego kocha i pewno jest im dobrze. Na jakiś czas.

Henryk wstał z fotela:

— A przepraszam panią. To nie jest koniec. To nie jest taka prosta rzecz. Nie wszystkim dobrze... Nawet na razie... Został przecież mąż?

— A tak, został mąż, ale cóż?

— Czy pani uważa, że wszystko w porządku, że to rzecz naturalna?

— Ja nie wiem, panie Henryku, czy wszystko w porządku, ja tylko mówię, że to rzecz naturalna.

— Porzucić męża?

— A żyć z nim, gdy kocha się innego?

— Tamto chwila, kaprys...

— Kto wie? Każde uczucie równie dobrze może być chwilą i kaprysem. A może miłość do męża była tylko kaprysem i chwilą?

— Ale to był, bądź co bądź, jej mąż.

— A ten, będzie jej mężem...

— Pani się z niczem nie liczy...

— Życie, panie Henryku, z niczem się nie liczy.

— Gdyby dziś Ibsen pisał swe dramaty, dałby pani niepoślednie miejsce, jako zwolennicze wolnej miłości...

— Kto z nas rezonuje? Pan opiera się na

instytucji małżeńskiej, jako na czemś, czego narużyć nie wolno, a ja opieram się na życiu, które jest nieuchwytnie, bo jest zmienne, jest ciąglem wahaniem się i bezgraniczną możliwością. A ty, Krzysiu, czemu nic nie mówisz?

— Bo ja nic nie wiem...

Henryk spytał łagodnym tonem:

— Czego, dziecko, nie wiesz?

— Nie wiem, gdzie jest prawda.

— Gdzie prawda? Musi być coś pewnego, nie dającego się obalić, tem, mojem zdaniem, jest małżeństwo...

Marja zaprzeczyła głową:

— A mojem miłość. Choć ją nowa zawsze obali.

— Zaraz, zaraz, panno Marjo, pani pozwoli... Mnie się zdaje, że najgorsze, to świadomość łatwości zerwania.

— Zerwanie jest łatwe? Boy gdzieś ubolewa nad kobietą, która od jednego mężczyzny przechodzi do drugiego...

— Pani wciąż żartuje...

— A pan już argumentu znaleźć nie może...

Ja myślę, że miłość jest cudowną rzeczą, i byłoby tak dobrze, gdyby mogła trwać zawsze! Żeby dwoje ludzi mogło razem przejść przez życie. Dopiero śmierć... Ach, zapomniałam, — uśmiechnęła się — śmierć też nie rozłącza. Ale tak nie jest.

— Dlaczego? — spytała cichutko Krzysia.

— Dla tysiąca powodów. Niestety, jeden z nich zawsze wystarcza. I co na to poradzić? To bardzo smutne. Ale fakt pozostaje faktem i walczyć z nim nie można. A dziś więcej, niż kiedy.

Henryk śmiał się:

— Erotyczna, powojenna atmosfera!

— I pan używa tego banalnego określenia?

Krzyśka, jeszcze kawy! Mogę pana prosić o drugi

kieliszek? Ale tobie, mała, radzę nie pij więcej. Masz takie rumieńce! Od likieru, czy od rozmowy? To był frazes, prawda panie Henryku? Bo proszę wziąć sprawę głębiej. Przecież w przeciągu kilku lat, przeżyliśmy w skrócie, taki długi czas i taką nieprzypuszczalnie wielką ilość wydarzeń zewnętrznych i wewnętrznych. Więc to, co się działo, na przestrzeni, powiedzmy, ćwierć wieku, dzieje się w naszych oczach. Dlatego mówimy, że tyle małżeństw rozstaje się...

— Ale takie poglądy, jak pani, sprawę ułatwiają...

— Moje poglądy są tylko rezultatem tego, co widziałam i widzę. Nie przyszłam do tych wypadków, jak pan, z gotową teorią...

Henryk mówił dalej:

— Bo, proszę pani, kobieta musi mieć zasady. Musi brać życie poważnie. Wtedy nie grożą jej rozczarowania. Naprzykład, moja Krzysia...

— Taka piękna, a przecież... Czytałem dziś... wziął z biurka białą książkę i otworzył ją na pierwszej stronie, — myślałem o niej...

Jej głowa, bławat oczu, tak były płomienne

Czarem, jak Afrodyty uroki bezdenne,

A serce czestne miała i tak wierne

Dla męża, jako w kwiatach stojąca cysterne.

— To coś starożytnego?

— Tak. Mniejsza o to. Kobieta dzisiejsza też może być taką. I będzie taką, jeśli nie pozwoli sobie myśleć...

— Nie pozwoli myśleć? To samo przychodzi...

— Nie, proszę pani, temu nie wierzę. Musi być wewnętrzne przyzwolenie na to, żeby te myśli miały dostęp.

— Krzysia jest rozmarzona swoim likierkiem, a ja śpiąca po podróży. Jutro dalej będziemy roztrząsać...

— Czy pani uważa to za zajmujący temat?
— A pan nie? To możemy mówić o czym innym. Będziemy rozmawiać na zadany przez pana temat. Dobranoc!

VIII.

Na kominku palił się ogień. Iskierki z trzaskiem pękały co chwila udając małe rakiety.

— Wiesz, Maryś, tak lubię ogień. Kipling nazywa go szkarłatnym kwieciami. A mnie ogień wydaje się cudem. Bo skąd... żeby nagle... z drzewa... z martwego kawałka... wytrysnął płomień, życie... co świeci i nas ogrzewa. Cud, prawda?

— Prawda, moja droga.

Marja i Krystyna siedziały wygodnie „po turecku“ na otomanie. Przed nimi, na miękkim stoliku stały w kryształowych kloszach konfitury, na srebrnym koszyczku owoce, a na ażurowym talerzyku z koreckiej porcelany, rożenki. Krzysia dusiła śmiesznym, starym dziadkiem orzechy, a Marja obierała jabłko.

— Dobrze tu u was, tak wygodnie, tak cicho!

— Oj, trochę nazbyt cicho!

— Krzysia!

— Mogę to powiedzieć, bo jego niema.

— Ty nie masz pojęcia, jak ja tu wypoczywam. A teraz to mi się zdaje, że jesteśmy dziećmi i urządziłyśmy sobie balik. Jabłka, orzechy, trzy gatunki konfitur, a w dodatku rożenki!

— Balik tem weselszy, że starsi pojechali w sąsiedztwo.

Marja się śmiała.

— A „starsi“ nie umieliby się bawić?

— Może i umieli... ale lepiej, że my same. Będzie można porozmawiać swobodnie...

— Mąż twój tak ciebie kocha...

— Pewno, kocha, bardzo...

— Ale wiesz, on cię trochę traktuje, jak dziecko.

— Tak, gdy wychodziłam zamaż byłam, pomimo dwudziestu lat, nieomal dzieckiem... Przecież ja tak mało znałam świat i ludzi...

— I teraz mało znasz...

— Tak mało się stykam... Ale Henryk mi wiele rzeczy objaśnił.

— Patrzysz jego oczyma?

— Czy to źle? Jego oczy są mądre i sprawiedliwe.

— Tak, pewno. Ale świat jest tylko wtedy ciekawy, gdy patrzymy własnymi oczyma...

— Mnie się zdaje, że ja wciąż śnię... Że ktoś dobry prowadzi mnie za rękę... że krzywdy mi nie uczyni... że na złą drogę nie powiedzie...

— Swoją drogą cię prowadzi... A każdy musi...

— Wiem, wiem... Ale tak miło o niczem nie myśleć, o nic się nie troszczyć. Tak jak dawniej, gdy matka żyła. Potem ten rok... Ten rok samotny, gdy byłam w biurze, taki straszny...

— Ciekawe, czy będziesz zawsze ulegać jego woli?

— Czasem to ja bym chciała mieć swoje zdanie... I pewno, gdyby mnie tak nie kochał, toby mi nieraz ciążyło... Ale ja wiem, że wszystko czyni dla mego dobra.

Marja się uśmiechnęła:

— A że przypadkiem twoje dobro, jest jego dobrem...

— To dziwne, wszystko się dzieje jak on chce, ale ja myślę czasem, że to tylko dla mnie. Bezemnie nic by tu nie było. Prostu Sławoszewo nie mogłoby istnieć. Drzewa by nie kwitły... Ogień zgasłby na kominku. On, słuchaj Maryś, ja się czasem boję, że on nie ma nic poza mną. A ja—

spojrzała na okno srebrną taflą jaśniejące na ciemnej ścianie — a ja mam przed sobą cały świat!

— Kochasz go?

— Kocham, choć czasem nie wiem, czy się to tak kocha? Teraz nie wiem, dawniej, z początku, wiedziałam...

— Nie trzeba nic wiedzieć... Tylko czuć...

— Kocham — on przede mną otworzył jakieś drzwi — zamknięte. Dał mi poznać cały ogrom nowych, nieznanych mi wrażeń... Otoczył mnie...

— O, tego nie wolno ci mówić, — przestrzegła Marja.

— Ale to wiele znaczy... Mam znów wszystko co chcę. Jak w dzieciństwie... I takie ładne...

Marja pomyślała, że damom harenowym biją perfumami wodotryski o dniach z turkusowej majoliki...

— Maryś, pozwól, wyciągnę się, a głowę położę ci na kolanach...

— Jak ci wygodnie, dziecinko...

Krzysia długą chwilę leżała cicho, bez słowa.

— Maryś... ja chciałam... ciebie...

— Mów...

— Tylko ja nie wiem jak...

— Mów prosto. Pamiętasz, jak wam w szkole zadawano wypracowanie: „Opowiesz swojemi słowami!“...

— Kiedy ja właśnie na to nie mam jeszcze swoich słów... Chciałam ciebie zapytać...

— O co?

— Pamiętasz... wtedy w Warszawie mówiłaś...

— Zapewne wiele rzeczy mówiłam. Nie wiem o co ci chodzi? Dlaczego głos ci drży? Czy to coś bardzo ważnego?

Krzysia zawstydzila się:

— O nie, nie... Ja tylko tak... Jestem bardzo ciekawa...

Marja gładziła czarne włosy Krzysi, rozwichrzone na czole.

— Opuść ten wstęp. To, żeś ciekawa — wiemy. I wyciągnęliśmy wczoraj z tego odpowiednie wnioski.

— Ja chciałam się spytać, czy ty naprawdę uważasz, że mężczyzna, który pierwszą swą miłość...

— Mówiłam coś o pierwszej miłości? Nie pamiętam.

— Ale ja pamiętam. Zaczęłaś mówić... Nie wiem dlaczego nie skończyłaś...

— Pewno coś mi przeszkodziło...

— Mówiłaś, że lepiej być pierwszą miłością swego męża, niż ostatnią. Bo ja myślałam, że lepiej ostatnią. Tak dobrze, spokojnie...

— A teraz, jak myślisz?

— Teraz myślę... że ja nie wiem. Powiedz mi, jeśli mężczyzna kocha pierwszy raz, to co?

— Moje dziecko, to są przecież rzeczy nie dające się określić. Niema żadnej reguły. Zresztą — żartowała — która z nas może być pewną, że będzie ostatnią miłością swego męża?

— Jestem tego pewna — rzekła Krzysia spokojnie. — To wiem. Więc wiem jak wygląda ostatnia miłość. Ale pierwsza? Musi być o wiele piękniejsza. Wszystko nieznanne razem się poznaje. To jakby się szło razem gdzieś daleko, drogą, na której nigdy się nie było... Ja tak lubię iść przed siebie... Rozglądać się... Każda ścieżka łączy tajemnicą. Wahać się, wybierać, smuć z omyłki, lub cieszyć z przecucia... Ale iść z kimś, kto już raz przebył tę drogę... Czasem tak smutno!

— Jesteś dziecko! Ty tego nie rozumiesz. Idzie się zawsze nieznaną drogą. Nikt nigdy nie szedł tą samą drogą... Bo nikt wczoraj nie był taki, jak dziś. Patrzysz na te same drzewa, pola? A wciąż ci się inne wydają... Bo ty jesteś nowa i inna. Wszystkie uczucia są stare, jak świat. Tyłko serce się odnawia, za każdym razem, gdy przeżywa — w pierwszej, jak i w ostatniej miłości...

Krzysia przeczyła smutnie głową:

— Ale to nie to samo, nie to samo.

XI

W przeddzień balu Henryk bardzo spokojnie ale i bardzo stanowczo powiedział Krzysi, że do Janowa nie pojedzie. Czuje się niezdrowo. W ostatnich czasach gorzej z sercem, a tam będzie gorąco i duszno, może mu to zaszkodzić.

Nie miał odwagi jechać. Ogarnął go lęk, by się nie zdradzić. Jeśli raz straci panowanie nad sobą, to straci całą swą władzę nad nią. Nerwy mogą odmówić posłuszeństwa. Lepiej przecierpieć, djabelnie przecierpieć w samotności, byleby się nie zdradzić. Wtedy, przed dwoma tygodniami, już nieomal...

Od pewnego czasu zauważył w Krzysi chęć zabawy. Po ślubie nie chciała jeździć z wizytami i najlepiej jej było w domu, teraz myślała o każdym gościu z radością, miała mnóstwo planów i projektów. Uważał, że może rzeczywiście potrzebuje rozrywki i urządził polowanie. Krzysia ubrana w śliczne futerko, rozbawiona i dziecinna, przywiozła śniadanie do lasu, z prostotą przyjmowała komplementy i Henryk był dumny ze swej żony. Gorzej wieczorem... Przy obiedzie była niezmiernie ożywiona, ale wydawała mu się jakaś inna, nieomal obca. Miał wrażenie, że główka jej

pełna jest jakichś myśli, dalekich od niego. Patrzył ze zdziwieniem, gdy grała w ruletkę. Grywali nie-raz — spokojnie przyjmowała wygrane i przegrane, teraz śmiała się jakimś zalotnym śmiechem, jakby nim kusiła szczęście. Nie chciała go za współnika.

— Idź, przecież ty grasz w bridge'a. Nie przeszkadzaj mi...

— Przeszkadzam ci?

Nawet nie odpowiedziała. Zwróciła się do stojących obok panów i z triumfem pokazała nową wygranę.

Henrykowi wieczór ten wydawał się nieskończenie długi, goście nieskończenie nudni. Pragnął jaknajprędzej zostać sam z żoną. Ona wszystkich zegnała bardzo uprzejmie, śmiała się, żartowała, nie zwracając prawie na niego uwagi.

Gdy znaleźli się w sypialni, ledwie odpowiadała na pytania, zajęta czem innym.

— Krzyśka, jakaś ty dziwna!

Jakby na to czekała. Odwróciła się z blyskiem gniewu w nagle nieomal czarnych oczach:

— Jesteś niezadowolony, że się bawię... że jestem wesoła... Tybyś chciał...

— Dziecko, ja nic nie chcę.

— Przepraszam — rzekła niespodzianie pokornie.

— Nie masz mnie za co przepraszać. Kręci się w główce, prawda? Zadużo piłaś... Bardzo się cieszę, że się mała trochę zabawiła.

— Cieszysz się? Doprawdy? To jesteś dobry!

— A ty myślałaś?.. Krzysiu! — Objął ją w pól i coś mówił do ucha.

— Jak chcesz?

— A ty?

— Jak chcesz...

Była uległa i poddana, ale czuł to wyraźnie, pierwszy raz wziął ją wbrew jej woli. I widział, że z jego objęć wyszła jeszcze chłodniejsza, niż była. Nazajutrz jednak zbudziła się, jak zawsze dobra i serdeczna, i tamten zły dzień pozornie zapadł w niepamięć obojga. Tylko się o nim nic nie mówiło... Jak o nieszczęściu, któremu słowo przypomnienia, nadać może świeżość bólu. Ale Henryk dobrze pamiętał. Dlatego się bał...

Krzysi przykro było samej jechać na bal. I trochę czuła się onieśmieloną. W pierwszej chwili, gdy mąż powiedział o swej decyzji, pomyślała, że nie pojedzie. Jakże sama? Zbraknie jej odwagi. Ale chęć zabawy była tak silna, że przemogła wszystkie towarzyskie skrupuły. Uspokoiła siebie łatwo tem, że pani Zofja taka miła i taka dla niej uprzejma.

Ale oburzyła się, gdy ta miła pani Zofja szepnęła jej na powitanie:

— Dobrze, że pan Henryk nie przyjechał. Popsułby pani zabawę.

Było jej tak przykro, że gdyby nie obawa śmieszności, wróciłaby do domu.

Pani Zofja zabrała Krzysię do swej sypialni.

— Tu pani będzie się ubierała. Bedziemy się razem ubierały. Proszę wyjąć suknię i powiesić na chwilę. Ach, jaka śliczna!

— Wczoraj mi ją przysłano. Żmigryder robił mi wyprawę, więc zna doskonale moją figurę. Zresztą dzisiejsza suknia...

— Tak, w dzisiejszych sukniach chodzi o to tylko, żeby były dostosowane do rodzaju urody. Ta właśnie...

— Podoba się pani? Henryk chciał białą, lecz ja uprosiłam, żeby żółtą...

— Żółta, zupełnie roztopione złoto... Taka

lekka, miękka. Tylko draperja. Ale dlaczego tak mało wycięta?

— Henryk...

— To się zaraz zmieni... Moja panna służąca... Słuchaj, Haniu... Tę szeleczkę trzeba lżej puścić. O, tu jest założone... Gazę mniej upiąć, tak, odpruj kwiat... Widzisz? Teraz będzie dobrze.

— Pani Zofjo, nie trzeba...

— Trzeba, trzeba... Nie protestować! Zobacz pani moją suknię...

— Pani jest starszą mężatką odemnie.

Zofja śmiała się:

— Tak się to mówiło dawniej, przed wojną... Miarą ilości lat po ślubie mierzyło się dekol. Im więcej lat, tem większy... Teraz raczej przeciwnie.. Niema zresztą obecnie młodszych, ani starszych mężatek. Są tylko ładne kobiety, które chcą się bawić...

Krzysia patrzyła w lustro:

— A ja? Czy doprawdy jestem tak ładna.

— Pani jest ładniejsza, niż się sobie wydaje. Maż pani tego nie mówi? Doprawdy, pani jest śliczna. Co za oczy! Ten ciemny, intensywny szafir! Takie oczy u brunetki!

— Proszę mnie nie psuć!

— Nie, ja dziś panią zepsuje! Pani chce włożyć koszulę? Pod balową suknię zupełnie wystarczy **combinaison**, właśnie taka jak pani ma. Zastąpi trzy rzeczy...

— Ta kószula jest bardzo cienka...

— Nawet najcieńsza. Po co? To zaraz psuje miękkość linji... I, wie pani, zatracą się bezpośrednio sukni z ciałem...

— Doprawdy?...

— Nie, nie. Składam ją i chowam z powrotem do walizki. A pani wyjąć nie może pod groźbą...

— Pod groźbą czego?

— Że się pani nie będzie podobać... No co, —

śmiała się Zofja — zawahała się skromnися. Ale, wie pani, musiałam obiecać mojej teściowej, że nie będziemy tańczyć tych, jak ona mówi, niemoralnych tańców, — pochyliła się do ucha Krzysi, — chyba nad ranem, gdy pójdzie spać. Na wsi to jeszcze ludzie mają przesady. Trzeba się z niemi liczyć.

Krzysia pomyślała, że z przesadami teściowej trzeba się liczyć, bo może cofnąć zapis.

Henryk leżał na otomanie. Leżał w cichym, pustym, jakby obumarłym domu. Kazał służbie iść spać — chciał być sam. Skupić wszystkie swe myśli, żeby lepiej, dokładniej widzieć, czy tylko czuć, co się *tam* dzieje. Miał złudzenie, że jego oczy przechodzą przez ośnieżone pola, przebijają mury domu. Widzi wszystko. Widzi ją, śliczną, uśmiechniętą, rozbawioną. Widzi grono mężczyzn koło niej. Ich spojżenia, słowa, ruchy nie mają dla niego tajemnic. W każdym z nich widzi siebie — dawnego. On tak dawniej... Niby przypadkowo ściska rękę... Umie wyzyskać każdą chwilę balowych wrażeń... Mówi słowa, które pieszczą bardziej, niż pieszczota... Patrzy w głąb falującej linji piersi... W tańcu tuli kobietę tak, jakby należała tylko do niego...

Wstał i podszedł do okna. Przyłożył twarz do zimnej szyby... Ale poszarpane, gorączkowe obrazy nie opuszczają... Tylko zaczynają się plątać, mącić. Jak to dawno! A jak tych obrazów wiele... Wszystkie swoje podstępny miłosne... Wszystkie okazje życiowych rozkoszy w lot chwytane... Wszystkie błędne ścieżki, któremi kogoś prowadził... A jak sam z nich zgrabnie i lekko uciekał! Jak uniknąć potrafił wszelkiej odpowiedzialności!..
Il l'avait soigneusement évitée par suite de cette lâcheté naturelle qui caractérise le sexe fort...

Przypomniał sobie, jaki on był dawniej... Bez-

względny, okrutny, młodzieńczo śmiały... Jak mu wszystko było wolno... Chciał ciągłej wojny... Była to dla niego jedynie istniejąca pora roku. Jak dziś dla Krzysi? Nie tak. Bo ona jeszcze naiwnie, szczerze wyciąga do niej ręce. Ale może?

Jak to raz przyjechał do dawno niewidzianego przyjaciela. Chciał zobaczyć jego szczęście rodzinne—tyle mu pisał o swej miłości do żony. Przyjaciela nie zastał, ale wierna i kochająca żona jeszcze tegoż wieczoru była jego... Nazajutrz pożegnał ją nazawsze. Nawet nigdy nie starał się dowiedzieć, czy przyjaciel jednako kochający i kochany. Przyszedł i odszedł—taki djabeł domowego ogniska.

Jak go ktoś kiedyś błagał o litość. Szli ulicami wielkiego, obcego miasta. Przez kilka miesięcy byli w nim sami, tylko ich dwoje. Dnia tego wyznał jej, że stoi mu na przeszkodzie do nowego szczęścia. „Nie kocham cię!“ „Pamiętasz, czem byłam dla ciebie? Nie możesz mi powiedzieć jednego dobrego słowa?“ „Nie mogę“. „Jak do przyjaciela, jak do człowieka, który cierpi?“ „Nie mogę“.

Odwróciła się nagle i poszła w stronę przeciwną, wąską uliczką, która prowadzi do Sekwany. Nawet się nie obejrzał. Szedł dalej swoją drogą—już wolny. Była wrogiem jego nowych pragnień... Nazajutrz myślał: może zajść do Morgi? Po co? Ona taka rozsądna... Zresztą, gdy nowa miłość się uśmiecha, nie trzeba mieć w oczach pamięci cudzego bólu.

Albo jeszcze... Zamknął drzwi przed taką, która dla niego z domu swego uciekła. Powoli, systematycznie, a mistrzowsko z domu ją tego wyprowadzał. Uwiódł ją swemi przysięgami... *Eternels serments d'un jour*. I kochał ją, aż mu się znudziła. Nie, poprostu zmieniła się... Stała

się niemila, kapryśna, niewyrozumiała... Taki dziwny charakter...

Jak się przestaje kochać ciało, to zawsze znajdzie się jakiś powód, dla którego nie można kochać duszy...

Przetarł czoło, jakby oddalając myśli. Od dawna nie przychodziły do niego takie wspomnienia. Nieomal zapomniał, że miały kiedyś barwę krwi gorącej. Teraz żadna kobieta go nie ręci. Nie istnieje na świecie kobieta, prócz Krzysi. I dlatego nienawidzi mężczyzn, co ośmielają się na nią patrzeć—jego oczyma. Zabierają mu jej wdzięk, jak swoją własność. Pragną jej... Mogliby ją kochać.

Henryk postanowił zasnąć. Wziął pastylkę, zgasił lampę i położył się na otomanie. Dobroczynna trucizna działała powoli. Myśli jeły się gmatwać. Jedne zaczynały się i urywały, a strzępy innych ledwie mignęły przed oczyma. Jeszcze chwila, a wszystkie razem zmieszają się w jakąś głębię i wciągną go za sobą w tę głęb. Czuje ją, zatacza koło, zbliża się coraz bardziej, jeszcze, jeszcze chwila, a pograży się w niej cały. Głowa już leci w przepaść niepamięci...

Niespodzianie dla samego siebie, ostatnim wysiłkiem woli zaczął się bronić. Nie chce, nie chce... Zasnąć, to nie wiedzieć nic, a nie wiedzieć, to pozwolić na wszystko... Nie, nie... Zerwał się i pobiegł do lampy. Drżącymi rękami, śpiesząc się, jakby w obawie, że może się znów poddać jakiejś zrowrogiej sile, zdejmował kłosz, podnosił szkiełko. Jasno! Odetchnął z uczuciem ulgi... Teraz już obroni się własnej słabości... Jeszcze druga i trzecia... Przyniósł z sąsiedniego pokoju i wszystkie pozapalał. Zaczął chodzić szybkimi krokami, żeby odegnać resztki pragnienia snu...

Uśmiechnął się... Pójdzie, jak chodził pan Dulski na Wysoki Zamek, na ulubioną przez Krzy-

się wzgórze. Oto przechodzi boczną furtkę parku, a teraz... Ile trzeba kroków? Jest już na drodze wysadzonej wierzbami... Przypomniawszy sobie, gdy szedł z nią po raz pierwszy. Jak się rozglądała, o wszystko roztropnie pytała...

Dosyć chodzenia. Teraz już weronal nie może działać. Weźmie jakąś książkę i będzie czytać. Podszedł do wielkich półek, zakrywających całe ściany. Po kolei przeglądał stare foljały, patrzył na czerwone i złoczone grzbiety, brał do ręki żgrabne tomiki współczesnych wydawnictw.

Nie może czytać!... Lepiej wrócić na otomanę.

Jak cicho! Skądże cicho? Milczenie ciszy, to bajka dla ludzi szczęśliwych. Cisza jest strasznie gadatliwa. Przychodzi wtedy do głosu wszystko, co przez dzień cały milczeć musi. Książka, jak modna dama na wizycie, która sobie boczek odsiedziała i odwraca się na drugą stronę, książka zmęczona swą pozycją nagle posuwa się trochę dalej. W dzień przyszłoby to bez śladu, ale w nocy echem jej odpowiadają inne, bratnie niewolnice. Spokojnie ćwiartki papieru, starych listów czy rachunków dzierżące tajemnice, szepcą między sobą, gniewają się i przymilają, szeleszcząc w sposób zgoła nieprzyzwoity. Wśród mebli piski i awantury. Deski, zmęczone dźwiganiem ciężarów, zaczynają się prostować, sprężyny terkozczą swą niezrozumiałą mowę, materje uwięzione w drewnianych ramach przeciągają się półsennie.

Najgorsze te zegary! Rozpoczęły między sobą jakieś tajemne porozumienia, głosy ich biegają z jednego do drugiego pokoju: jeden pyta, drugi odpowiada, ten znów prowadzi jakieś monotonne opowiadania, którego nikt nie słucha. Budzik, przy łóżku, trzepece się, mizdrzy i szepcze, udając konfindenta, który mógłby dużo wygadać... Gdyby nie był tak dyskretny.

Ostatecznie można zegary zatrzymać... Dość męcza przez cały dzień. Po chwili wahania Henryk zbliżył się do swego przyjaciela w mahoniowej szafce. W rogu pokoju, cicho stojący, dawał mu tyle razy niezawodne obietnice: jeszcze chwilka, druga i trzecia, a ona już tu będzie. Za to bez żadnych skrupułów poszedł do buduaru żony. Złocony, kokieterijny zegar z portretami frywolnych dam wydał mu się tak śmieszny i pretensjonalny, że chętnieby go wogóle z domu wyrzucił. Zabronił starej kukułce popisów, nakazał milczenie wszystkim wahadłom, nawet budzik nie zyskał łaski w jego oczach.

Wrócił do gabinetu zadowolony, z uczuciem ulgi. Wyciągnął się wygodnie na miękkich poduszkach, niby człowiek zmęczony daleką podróżą. Nagle się zerwał. Przecież teraz nie będzie wiedział, jak długo jeszcze męki? Która to godzina? Na szczęście, w czasie swej wandalskiej wyprawy zapomniał o zegarku, który miał w kieszeni pyjamy. Czwartą. Już? Jakto dobrze! Może przyjechać lada chwila. Przecież bale na wsi zaczynają się tak wczesnie... Zresztą, pewnie mieć będzie dość zabawy... Lada chwila przyjedzie...

Podszedł do okna i odsłonił ciężkie firanki. Taka czarna noc! Jakże przyjedzie? Skąd?

Serce przepełniło się troskliwością. Niech teraz nie przyjeżdża! On poczeka, jeszcze się pomoć. Latarnie, to tak mało! Nawet gdyby dali kaganiec... Lepiej niech tam jeszcze zostanie. Maleńka, kochana, dziecina! Wielka miłość załapała mu serce. Bo cóż, że jej tu niema, ale gdzieś jest i jest jego. Wróci wesoła, dobra, wróci. A on zapomni o wszystkim. Czemże jedna noc cierpienia wobec tego szczęścia, które jeszcze przed nimi?

Tak, to wszystko minie. Ale w nim samym? Nie będzie już obawy nieszczęścia, ale pamięć nieszczęścia. Będzie pamiętał czas, miejsce, uczucie...

Życie ją nęci, bo pełne tajemnic... Co on dać jej może? Swoją wielką miłość?... To tak mało, gdy nie zna się jeszcze jej wartości. A sam? Jest jak człowiek, nad którym śmierć wisi. Jest na śmierć skazany. Dziś może jeszcze być dobre, ale wyrok już ktoś podpisał... Jest sam, samotny. I w tej strasznej chwili niema nikogo na całym świecie, kogoby mógł na pomoc zawołać. Ją? Ach, nigdy! Ją najmniej, choćby miała przyjść najstraszniejsza męka.

Przymknięte oczy rozwarły się szeroko. I zdawało mu się, że widzi... Nie, nie... Ale przecież i słyszy... Melodję dziką, namiętą... Tango... Melodja? Nie, to jakaś woń daleka, to krzyk pragnienia, któremu inne pragnienie odpowiada. „W przecięciach stu zmysłowych póż“. Nie taniec, tylko splecenie się dwóch ciał, oddanie się dwóch ciał... Tylko pierś na piersi leżąca, tylko rytmiczny ruch nóg, w drgawkach rozkoszy ofiarowane biodra... W takiej chwili każda kobieta należy do każdego mężczyzny. Może wbrew woli, ale należy. Jest jego rzeczą — niepodzielną. Własnością jego stają się jej nogi w miękkiej jedwab owinięte, białe plecy, z których opadają przepaski, odsłonięte półkule piersi.

— Krzyśka! Ona też?..

Godziny szły za godzinami. Późny świt zimowy powoli przekradał się przez ciężkie firanki. Rozsiadł się najpierw na mahoniowym biurku, ożywił jego brzozy i poszedł dalej. Ponakreślał na dywanach barwne linje, opasał pobożny łuk modlitewnika, wywołał z szarżyny kolorowe grzbiety książek i na czerwonych, szafirowych i brązowych skórach rozsiadł złote literki. W końcu wtargnął do kryjówki, w której leżał Henryk. Leżał z otwartymi oczyma. Słuchał — nadśluchował. Po jakiejś drodze bez końca głuche, smutne wołanie dzwonek... Nagle, jakby otrząsły się ze swego zawo-

dzenia — rozkołysane głosiki zadzwoniły spokojnie przedpokojem. Wyszedł do przedpokoju, gdy już usłyszał stukanie zmarzniętych nóżek. Zdziwiła się.

— Już wstałaś?

— Wcale się nie kładłem.

— Ach dlaczego? Ale zdrow jesteś? Taki był śliczny bal, taki śliczny!

— Chodź, chodź, to mi opowiesz.

— Nie wiem, czy ci teraz opowiem. Jestem zmęczona, śpiąca.

Pochylił się ku niej:

— Nie wołaj służącej. Pomogę ci się rozebrać...

— Naturalnie, nie trzeba. Ona też śpiąca. Ja sama... Idę do sypialni. — Rzuciła płaszcz na krzesło. — Jestem w szlafrocuku. To będzie zaraz.

— Myślałem, myślałem...

— Co, Ryś?

— Że przyjedziesz w balowej sukni. Że cię zobaczę, choć teraz...

— Nie, jakże?... Byłoby zimno. I suknia bardzo zniszczona. Tyle tańczyłam...

— Daj klucz od walizki, wyjmę ją... A to co? Twoja „popisowa“ koszulka nie zmięta? A miałaś nią olśnić panią Zofję. Wedle jej recepty zrobiona. Dlaczego wzięłaś inną?

Zarumieniła się po krąg czarnych włosów.

— Nie, tak jakoś... Nie wzięłam żadnej... *Combinaison* wystarcza pod balową suknię — skończyła nagle tonem spokojnym i zdecydowanym.

— A — to pewno też nauka pani Zofji?

— No, już daj spokój... Nie męcz mnie tą panią Zofją. — Rozbierała się szybko. — Mówiono, że byłam królową balu. Popatrz na mnie! Ładna królowa... Raczej śpiąca królowna...

— Ale królowa trzymała zdaleka swych poddanych?

Wydeła pogardliwie wargi:

— Pewnie. A co ty myślałeś? Już nie mogę... Spać, spać...

X

— Śliczny czas! Wiesz co? Jedźmy do Zakopanego.

Krzysia rzuciła się Henrykowi na szyję.

— Mówisz tak spokojnie, niby o rzeczy zwykłej.

— A cóż w tem niezwykłego? Byłaś w Zakopanem przed wojną. Paszporty, te różne trudności... Ale teraz. Dziś się pakujemy, jutro jazda. Zatrzymamy się w Krakowie od pociągu do pociągu. Kupimy Krzysi śliczny biały trykocik i co tam jeszcze potrzeba.

— Wiesz, nie całkiem biały, to nie do twarzy. Lepiej koloru kości słoniowej.

— Naturalnie koloru kości słoniowej... A potem dalej, chcesz, maleńka?

— Pewno, że chcę.

Krzysia miała ochotę skakać. Ale bała się, czy ta radość nie będzie przykrą mężowi. Jak wtedy, gdy jechali do Warszawy. Spytał się tak dziwnie:

— Nudzisz się w domu?

Ale ona nie nudziła się, tylko tak, chciała coś nowego zobaczyć.

I teraz wszystko ją cieszyło. Pyszne śniadanie w wagonie restauracyjnym i łuk Tatr, ukazujących się nagle, gdzieś za Poroninem, wygodne fotele w eleganckim hallu, zawrotna jazda na bobsleigh'u i zachód słońca oglądany z Cyrli.

Szli do Doliny Białego.

— Jeszcześmy gór nie widzieli, ta ciągła mgła...

— A tak, to wszystko, jakby prolog. Potem

kurtyna się podniesie i zacznie się prawdziwe przedstawienie. Ale co mi tam! Nie chodzi mi o góry, ze wszystkiego w Zakopanem najwięcej mi się podoba śnieg. Niby taki jak wszędzie, a zupełnie inny. Popatrz, co on wyprawia! Przecież nigdzieby sobie na to nie pozwolił. Poważnym latarniom dawać takie czapki, istne papachy! A te na sztachtach... Nie, muszę je pozbijać. Widzisz olbrzymie ciastka z kremem na kamieniach.

Zakradła się na podwórko górala, gdzie z okapów stodoły zwisały stalaktyty. Uderzyła je swoja czarodziejską laseczką. Odcięte, jeden po drugim, opadały z brzękiem, jak szklane paciorki rozsypałe po lśniacej posadzce. Śmiała się i zaraz szukała innych... A potem biegła patrzeć na zamarznąętą fontannę — przez biało-błękitną grotę wytryskał wąski strumień wody, w ruchu, w jej oczach, z kropel zamieniając się w kryształ.

— Ależ my nigdy nie dojdziemy, jeżeli mieć będziesz takie przeszkody w podróży...

— Dojdziemy. Przecież już się zaczyna las. Las, las, las. Ja tak strasznie lubię las. Rozejrzała się wokoło. Ale tu, tu przecież... przyszedł nagły wiatr i rozegnał chmury! — jaki dziwny błękit wisi na szczytach sosen. Błady, przejrzysty błękit muślinowej sukienki podlotka. Jak tu cudnie!.. Poczekaj, stańmy... Odetchnę... Tak głęboko odetchnę, żeby wszystko wziąć w siebie... Co ten śnieg wyprawia, co on wyprawia!... Patrz, te stopy ściętego drzewa owinięte w watę... Taką higieniczną przedwojenną watę Brunsa, sprzedawaną na funty. A widzisz te łapy potężnej, białej niedźwiedzicy, rzucone na watę gałązki drzew? Sosenki wyglądają jak przejrzyste paprocie. Z drzew śnieg zrobił istną maskaradę. Ha, ha, ten potworny korzeń, — zanosiła się od śmiechu, — ubrał się w płaszcz z kapturem, wziął kij do ręki i taka czarownica stoi na strach ludziom. Zaraz, za chwilę biała babcia ruszy

z miejsca i posunie się w świat, postukując kosturem.

Brała śnieg do ręki i rozsypywała drobne ziarenka, niby ziarenka cukru, białe, twarde, nieomal słodkie. A potem różowemi, chciwemi ustami gryzła je i smakowała:

— Śnieg tak upiększa, odmładza, oczyszcza świat.

— Tak, przedewszystkiem oczyszcza. Jak ból serce.

Zmarszczyła groźnie brwi.

— Ból? Nie chcę go znać.

— Nie bój się. Nie możesz go jeszcze znać.

Podniosła główkę do góry, biegnąc oczyma za wysoką linią drzew.

— A teraz niebo stało się jakieś niesamowite. Niby turkusy, które dla nabrania barwy zakopano w ziemi.

Siedzieli nad potokiem. Wieczór był nieomal ciepły. Patrzyli na białe drogi, idące przez ciemną zielen regli, na fiolet gór, fiolet mocny intensywniejszy, niż na obrazach Wyczółkowskiego.

— Woda szumi...

Henryk powtórzył powoli, niby do siebie:

— Woda szumi... Stara i mądra... A wiecznie młoda. Wszystko wie i wszystko zapomina. Kołysze i zarazem budzi do życia. Przebacza i niepokoi. Trwała i zmienna. Nigdy w tej samej wodzie nikt swej stopy nie umoczył. Może jedyna forma wieczności i nieśmiertelności.

— A mnie ona męczy. Leci, biegnie, uchwycić nie można.

— I nie trzeba. Wszystkiego, dziecko, chwycić nie można.

— Mówisz: wieczność, trwałość. Jakie to nu-

dne! Myślę, że tylko chwila i nietrwałość mogą być piękne.

— Krzyśka!

— Męczy mnie ta twoja woda...

— To idźmy do Trzaski! Wolisz jazz-band od dumania nad wodą? Może i masz rację. Zresztą już ciemno.

Podchodzili do cukierni. Zdaleka biegła muzyka jaskrawa, ostra, brutalna. Krzysia nasłuchiwała, chrapki jej latały, jak młodemu żrebakowi.

— Tam chodźmy, jest pusty stolik. Trochę dalej od tego tańczącego towarzystwa.

— Dlaczego?

— Nie mogę, cóż poradzę? Jestem człowiekiem z *ancien régime'u*. Razi mnie dzisiejszy towarzyski demokratyzm.

— Nie lubisz ludzi, którzy ci się nie przedstawili? A ja, — zaśmiała się, — jestem dziecko wojny, mnie nic nie razi.

— No, mam nadzieję...

— Zajmuj się lepiej kelnerem... Czarnej kawy! Ty, niestety, nie. A jakże dziś twoje serce?

— Dziękuję, mała, dziękuję. Pomówimy o tem w odpowiedniejszej chwili. Zaraz będziesz mieć czarną kawę.

— Przymiliła się:

— I pomarańcze, dzieci słońca.

— Naturalnie. Ładnie powiedziałaś... Już wszystko mamy. A swoją drogą wiesz, jak tu dawniej bywało... Naprawdę duchowa stolica Polski... Co krok spotykało się...

— Boże, jakim chciała, żeby w tej chwili wszedł Wierzyński. Wstałabym, dygnęła przed nim grzecznie i powiedziała: Pan ma rację... Ja też... „an białym śniegu sadzę wiosnę“.. Jak on wygląda, jak go sobie wyobrażasz?

— Ja go sobie wcale nie wyobrażam. A gdy-

bym myślał to doszedłbym do wniosku, że taki jak inni.

Skrzywiła usteczka:

— Wcale nie.

— Pewno doznałabyś zawodu...

— Nie, nie odgarnąłby swoje aksamitne...

— Ale prawda... Przepraszam cię. Przypomniałem sobie. Ktoś mi go gdzieś pokazywał. Ma jasne włosy, które, jak wy to nazywacie, onduluje. Nosi szkła...

— Bardzo proszę, nie mów takich rzeczy. Albo Melcer-Rutkowska. Zarazbym ją poznała. Piękna jak Józefina. I nawet sto razy piękniejsza. To szczęśliwa kobieta, jej wszystko wolno...

— Komu? Józefinie... Bohaterce to łatwo...

— Nie. Jej autorce. Kiedy się pisze takie powieści...

Zaczął się śmiać:

— Słyszałem, że pani Rutkowska, to przykładna żona i bardzo *collet monté*!

— Jesteś bez serca! Nie uszanujesz żadnych złudzeń. Brak ci wyobraźni!... Tobie wystarczy to co ci ktoś powiedział... I nawet nie masz nic na swą obronę...

Śmiał się jeszcze bardziej.

— Nic. Widziesz, świerszcz za kominem powiedział, że szczęśliwą właściwością wszystkich mów bezsensownych jest to, że można na nie nie odpowiadać...

Krzysia nagle spowaźniała.

— Wiesz, ja czekam, wciąż czekam. Na coś nowego, najnowszego — czekam książek, które mi powiedzą coś, czego jeszcze nie wiem.

— Jeszcze bardzo dużo rzeczy nie wiesz, małenka... Ale tego ci nie powiedzą najnowsze książki. Wszystko jest już zapisane — w bardzo dawnych. — Uśmiechnął się smutnie. — Chciałbym

to, co już raz czytałem, na nowo przeczytać... W młodości tyle rzeczy czyta się z musu, czy obowiązku. A teraz, powoli, smakując.

— Daj papierosa, daj!

— Po co? I jeszcze tu? Ta twoja chęć palenia jest śmieszna i dziecinna.

— A ty?

— Ja nie chcę palić, ja muszę palić...

— E, to coś bardzo mądrego... Palić... Jak wszystkie panie.

— Na szczęście jeszcze nie wszystkie. Więc i ty nie będziesz.

Zadała się. Odwróciła głowę i patrzyła na tańczących. Potem zwróciła się ku niemu z iskierkami gniewu w oczach.

— To może nie pozwolisz nosić spodenek?

— No, nie bardzo...

— A inaczej nie będę jeździć na nartach...

— Ostatecznie możesz nie jeździć...

— Kiedy ja chcę... Wszystkie panie tak się ubierają... Angielka z naszego pensjonatu...

— Moja droga, bez przykładów. Myślę, że nie chcesz wyglądać jak ta Angielka?

— Myślę, że nie będę wyglądać, jak ta Angielka...

Oboje wybuchnęły porozumiewawczym śmiechem, a Krzysia po chwili:

— Wiesz co? Idźmy stąd. Tu trudno.

— A przed chwilą chciałaś? *La donna stravagane!*

— Tak, przed chwilą chciałam... Ale nie ma tu nic interesującego... I muszę siedzieć spokojnie, gdy wszyscy tańczą.

— Nie obiecywałem ci towarzystwa Melcer-Rutkowskiej, ani Wierzyńskiego. A tańczyć z tobą nie mogę. Nie umiem shimmy.

— I taki jesteś uparty, że nie chcesz się nau-

czyć. Tylko te staromodne walce... Zresztą tańczysz bardzo ładnie. Chodźmy.

Wyszli. Noc była srebrna i błękitna. Zakopane roztaczało się na tym tle, niby dekoracja teatralna.

Henryk chodził po pokoju.

Pukanie do drzwi.

— Proszę pana, czy można podać podwieczorek?

— Nie, proszę poczekać, aż pani wróci.

— Bo, proszę pana już późno. — Wyjął zegarek z kieszeni i przyglądał mu się tak, jakby nie patrzył przed chwilą.

— A, piąta... To można.

Służąca przyniosła tacę. Powoli, systematycznie ustawiała na stole filiżanki, bułeczki i masło. Henrykowi zdawało się, że robi to nieskończenie długo. Wyszła. Odetchnął. Pomyślał, że kawę wypić wypada, a zresztą może jest głodny. Spojrzał w okno. Robiło się coraz ciemniej.

Nagle gwałtowny ruch na dole. Otrępywanie nóg ze śniegu. Jej głos, jej śmiech... Wesole, jakby chłapiące kroki na schodach. Szeroko, zamaszyście otwarte drzwi. Krysia. Stała zalekniona, jakby trwożna, czy niepewna. Podniósł głowę. Granatowe spodenki owijały jej smukłe uda — wysokie buciki — zgrabne nogi. Trykot na młodych, jakby samych siebie wstydzących się piersiach. Włosy schowane pod małą frygijską czapczką, fantazyjnie na bok włożoną. Rumieńce miała na twarzy, w oczach, nagle smutnych, niewygaśnięte jeszcze promienie.

— Spóźniłam się...

— Tak. Czekałam oddawna. Miałas przyjść na obiad.

— Zapomniałam, — pokorne usprawiedliwienie.

— Zapomniałaś, że czekam?

— Podszedł do niej szybko i patrzył uważnie w twarz. Spuściła głowę, jak dziecko, proszące o przebaczenie.

— Zapomniałam. Nie gniewaj się...

— Nie gniewam się. Cożes ty winna, żeś zapomniała.

— Ale ci przykro?...

Henryk nic nie odpowiedział. Przyszło mu na myśl kłamliwe postanowienie. Wahał się chwilę. Trzeba... Udawał jednak, że szuka czegoś po kieszeniach.

— Dostałem od rządcy depeszę. Musimy jutro wracać.

— Depeszę? Co się stało? Gdzie ta depesza?

— Nie wiem... Może w sali jadalnej? To było po obiedzie...

Smutno ci?

Ściągnęła brwi.

— Nie, będę się pakować.

— Poczekaj, odpocznij. Zjedz coś. Musisz być głodna?

— Jadłam. Nie chcę mi się. Trzeba się pakować. Skoro dostałeś depeszę i musimy jechać...

XI.

Henryk siedział w gabinecie. Wpadła Krzysia. Czerwony trykot i zawadjacka czapeczka.

— Ach, jak u ciebie smutno! Otwórz okno, prędko, prędko...

— Co się stało?

— Otwórz okno. Ktoś tu przyjedzie! Otwórz prędko!

Henryk podniósł się z fotelu.

— Otwieram i — czekam.

— Ryś, wielka nowina! Wiosna przyszła. Dziś ją widziałam... Słyszałam, czułam... Nagle.

Szłam tą zwykłą drogą, do lasu. Nagle, nie wiem skąd, przyleciał wiatr, wiaterek... I przyniósł ze sobą zapach wiosny. Oglądnęłam się i zobaczyłam ją — wszędzie. Na polu jeszcze szarem, pod bladym niebem... Wiesz i w sobie. Jak radośnie, jak radośnie!

Przymknęła oczy i dalej widziała wiosnę. Nad wół zmarłą ziemią unosił się jej opar, owijała nadzieją smutne drzewa, biegła w powietrzu. Henryk patrzył na żonę z zazdrosną ciekawością. Myślał, że to już bardzo dawno, gdyż każda wiosna była dla niego objawieniem, była nowym, nieznanym cudem.

— Ty mnie nie rozumiesz?

— Krzyśka, ja ciebie rozumiem...

— Więc dlaczego? Bierz czapkę i ruszaj w pole.

Bardzo łagodnie usunął rękę żony.

— Nie, droga.

Teraz Krzysia patrzyła na niego ciekawie:

— A więc ty jej nie czujesz?...

Wyszła z gabinetu i usiadła w jadalni, melancholijnie, w kąciaku. I jej się teraz zdawało, że może wiosny wcale niema. Jeszcze nie przyszła? Nie przyjdzie?

XII.

— Dlaczego jesteś taki zły?

— Wyobraź sobie, ciotka pisze...

— Że tu zjadą na Wielkanoc? Oddawna czułam, że katastrofa wisi w powietrzu.

— Nie, coś gorszego. Prosi, żeby przyjechać do nich. Oni nie mogą. Jej syn, ten dyplomata, ładni dzisiaj dyplomaci! zaraz po świętach wyrusza do Paryża. A jeszcze... Otrzymałam wiadomość o zebraniu, w sprawie zjazdu koleżeńkiego... W dodatku posiedzenie doroczne Towarzystwa

Rolniczego. — Tyle na raz rzeczy wzywa mnie do Warszawy...

— Daj list. Przeczytam sama. Ostatecznie nic w tem tak złego nie widzę. Ty wiesz, że mnie z tobą najlepiej... Ale trudno... — Pochyliła czarną główkę nad drobnymi literkami ciotki: — Trochę śmieszne to odwoływanie się do uczuć rodzinnych. Ty ich nigdy nie miałeś...

— Nie. Ale z ciotką zawsze byłem w zgodzie. Jedyna siostra mojej matki...

— Więc? — Zawisła oczyma na jego ustach.

— Więc myślę, że trzeba pojechać na parę dni. — Poglądził ją po włosach. — A Krzysia co myśli?

Zaczęła się przymilać:

— Ach, przecież Krzysia zawsze to samo myśli, co ty.

— Nie zawsze... Oczka ci się świecą z radości.

— Bo wiesz, — tłumaczyła się, jak mała dziewczynka, — ja prawie nie znam twojej rodziny. Na ślubie... Nawet wypada... Żebym się im tylko podobała...

— Już ja się o to nie boję. Więc to będzie *entrée solennelle*?

Entrée solennelle świetnie się udała. Krzysia zdobyła serce ciotki, kuzynek, a nawet dyplomaty.

Pierwszy dzień Wielkanocy przeszedł w zwykłym nastroju świątecznym. Wszyscy się zachwycali indykiem i prosiakiem, takim prawdziwym, przedwojennym prosiakiem, z tradycyjnym chrzanem w mordeczce. Upiękniała go świetnie gospośnia Krystyny, skórka była chrupiąca (osmarowano ją oliwą), a nadzienie — pierwsza klasa. Babki i mazurki, lwia część też ze Sławoszewa, wyrugowały smutną pamięć wszystkich *ersatzów*, kiedy to zamiast kasztanów używano fasoli, a zamiast migda-

łów, pestek ze śliwek suszonych. Ciągłe się coś jadło, coś gadało, trochę tańczyło, a trochę nużyło.

Patrzył na śpiącą Krzysię. Rozsypane czarne włosy, twarzyczka wtulona w poduszkę, jedna łapka pod głową, druga zabłąkana na brzegu łóżka. Żał mu było budzić, ale już późno, a przytem chciał jej coś powiedzieć.

— Krzyśka! — Nie otworzyła oczu tylko przeciągnęła się leniwie. — Krzyśka, mały leniuchu, zbudź się!

— Trzeba się zbudzić?...

Śmiał się:

— No, przecież już się zbudziłaś? Tylko trzeba wstać. Ubrać się.

— Jeszcze trochę, jeszcze trochę...

— Nie jesteśmy u siebie. Wiesz, jesteśmy w Warszawie, z wizyta...

— A, prawda... — Ręka szukała jego twarzy. — O, jaki ładny, już ogolony, już miłutki, już nie będzie Krzyśki kłóć...

— Można spróbować?

— A spróbuj...

Pochylił się i długo próbował. Ona biernie poddawała się pieszczotom.

— Krzyśka, a ty mnie nie pocałujesz?

— Jakoś nie mogę, — tłumaczyła się sennym głosem.

Usunął się nagle:

— Dlaczego nie możesz?

— Bo mi się jeszcze spać chce.

— A więc pozwalasz się całować żeby... zyskać na czasie? Trochę jeszcze pospać?

— Może...

— Brzydka, brzydka Krzysia!... Ja też nie chcę już ciebie całować!

— Nie gniewaj się, nie gniewaj! Wiesz, jaki śpioch ze mnie... No, pochyl się, teraz pocałuję.

Nie widziała jego smutnej twarzy. Miała jeszcze oczy zamknięte.

— Krzysiu, wiesz co? Taki ładny dzień. Idźmy do Łazienek. Sami. Dawno tam nie byliśmy... Właściwie, to tylko dwa razy... Pamiętasz?

Otworzyła szeroko oczy, takie mocno szafiorowe, że aż nagle zabłąkitniało w pokoju:

— Pamiętam.

— A miłe masz wspomnienie?

— Miłe.

— No, więc trzeba je odnowić. Popołudniu to zebranie, jutro Towarzystwo Rolnicze. Więc tylko dziś rano... Zaraz, ubierz się prędko.

— Kiedy...

— Co?

— Kiedy... Jakoś mi cię nie chce.

— Nie chce ci się iść do Łazienek? Taki śliczny dzień! Pojedziemy powozem. Jak wtedy...

— Ja się boję!...

— Czego się boisz, Krzyśka?

— Że nie będzie tak ładnie, jak wtedy.

Śmiał się:

— Pewno, że nie będzie tak ładnie, jak wtedy. Będzie inaczej... Może jeszcze ładniej...

— Nie, nie. Dlatego się boję...

— Ale czego się boisz?

— Że... słuchaj Ryś... nie będzie wcale ładnie...

A i tamto dawne dobre wspomnienie gdzieś ucieknie.

Spochnurniał.

— Jeśli nie chcesz... Jak uważasz... W każdym razie może wstaniesz. Czas na śniadanie. Ja już idę.

Był zły, że się spóźnił, ale nie mógł wyjść wcześniej z tego zebrania. Zadzwoił. Służąca otworzyła drzwi.

— Pani...

— W salonie.

Odpowiedź była zbyteczna. Usłyszał jej śmiech. Aż się zdziwił. Jej, czy nie jej? Takiego jej śmiechu dawno nie słyszał. To był śmiech, który go tak zachwycił, śmiech młodości, jasny, rozlewny, bez granic. Nie pamiętał, kiedy go ostatni raz słyszał. Może w restauracji? Może w Zakopanem, gdy wracała z nart? W ostatnich czasach tak się nie śmiała. Śmiała się cicho, dyskretnie, jakby z tłumikiem.

Ze stołowego pokoju wybiegła ciotka:

— Nie można, jeszcze nie można. Za chwilę. Oni urządzają żywe obrazy. Jeszcze nie są gotowi. Zawołają nas. Poczekaj. Możesz głodny? Będziemy jeść kolację „po przedstawieniu“. Ale herbatę...

Nie wiedział czy jest głodny, czy nie, ale powiedział, że nie i rozmawiał z ciotką bardzo uprzejmie. Choć niepokoiły go te drzwi zamknięte. Szła stamtąd rozmowa kilku głosów, a nad nią leciał, górował śmiech Krzysia.

— Już!

Drzwi otwarto szeroko. Scena z życia Kleopatry. Kombinacja historii, Szekspira, Gautier'a i Shawa, — scena, której Kleopatra by z pewnością sobie nie przypomniała. Kleopatra — Krzysia bardzo jednak była z niej dumna, mając u swych stóp Antoniusza, Cezara, Ptolomeusza, Ftetesitę o śmiesznie brzmiącym imieniu, jeszcze jakaś dworke, tancerkę i niewolnicę.

— Krzyśka — pytał Henryk — gdy żywy obraz skończono, nie przywitasz się ze mną?

Całował żonę po rękach.

— Daj spokój... Przecież nie jesteśmy sami.

— A cóż mnie to obchodzi? Nie widziałem ciebie przez cały dzień. Wpadłem na obiad, ale jeszcze nie wróciłaś. Gdzie byłaś?

— Byłam... w Łazienkach.

— A — w Łazienkach... A ze mną nie chciałaś... Z kim byłaś?

Jakby chwilka wahania:

— Sama.

Milczenie. Patrzył na nią uważnie.

— Krzyśka, dlaczego taka wycięta suknia?

— Bo tak trzeba. Robiliśmy „kostjummy“ ściśle wedle wystawy w Polskim. Stefan bardzo tego pilnował. Mówił, że wyglądam ładniej, niż tamta Kleopatra. Ładniej nawet, niż gdyby Majdrowiczówna była Kleopatą.

— Nawet Majdrowiczówna? No, idź się przebrać...

— Ależ nie... Będę tak jeść kolację. Umówiliśmy się... To bardzo zabawne!

— Tak? Tylko, moja droga, bardzo cię proszę, popraw...

— Ach, jakiś ty nudny! No, chodźmy na kolację. Jestem głodna.

Podeszła do dyplomaty, który zbierał powinnowania.

— Warto było, — dziękował skromnie, — Kleopatra śliczna. Siadajmy. Można koło pani? — Skinęła główką. — A czy pani ma w sobie coś z Kleopatry?

— Ja... Przyznam się... Nie dobrze pamiętam jaka ona była. Mogę spytać męża. — Z dumą: — On wszystko wie.

— Nie trzeba pytać. Zresztą na to, żeby być Kleopatą, należy wyjechać ze Sławoszewa.

— A pojechać do Paryża? Uśmiechnęła się zalotnie. — Wybieramy się tam z... mężem.

— Z mężem? Z mężem nie jedzie się do Paryża. To jakby do Tuły z samowarem... Poselstwo polskie chętnie zajmie się panią. Służymy opieką i informacjami.

— Dziękuję. Henryk też dobrze zna Paryż.

— Nie wątpię. Może... za dobrze.

Zbiegły się gniewnie czarne brwi:

— Co pan chce przez to powiedzieć? Nie rozumiem. — Pochylił się i zaczął coś mówić szepcetem. Krzysia podniosła oczy i spotkała się ze smutnym wzrokiem męża.

— Niech pan przestanie...

— Dobrze. Dokończę jutro.. w Łazienkach.

— Nie pójdę jutro do Łazienek.

— *Sama*, naturalnie, że nie. Ale ze mną...

— Z panem tembardziej...

— Zobaczmy jutro, czy pani nie będzie mieć ochoty. Henryk ma posiedzenie w Towarzystwie Rolniczem... To bardzo ładnie, że zajmuje się podniesieniem dobrobytu w kraju. I gromadzeniem pieniędzy. Gdy dawniej...

— Niech pan tak nie mówi...

— Czy mówię coś złego? Zbiera pieniądze na złotą klatkę dla swego rajskiego ptaka.

— To dyplomaci tak się dyplomatycznie wyrażają?

— Jeśli pani widzi w tem coś złego, to jej wina. Pani go zna lepiej odemnie. Ja go znam mało. Więcej ze słyszenia. Zresztą to bardzo miły człowiek. Można pani nalać jeszcze wina?

— Nie będę więcej pić.

— Dlaczego?

— Mąż nie pozwala. Widzi pan?

— A, więc pani pije, kiedy mąż pozwala? Musi mieć w tem jakąś specjalną korzyść, czy przyjemność. Możliwe. — Patrzył na nią okiem znawcy.

Krzysia zwróciła się do kuzynki:

— Jaga, ty ciągle się kręcisz... Usiądź tu, koło nas. Jest miejsce. Pan się trochę posunie, panie Stefanie. Doskonale się zmieścisz. Jesteś taka mała lalczka.

Stefan przechylił się przez krzesło siostry i spytał cicho:

— Czy to też skutek znaków, dawanych przez męża?

— Jaki pan niezdolny!

— Czy w Łazienkach też byłem niezdolny?

Męka Henryka skończyła się wreszcie. Już byli u siebie. Krzysia, bardzo ożywiona, ciągle coś gorączkowo opowiadała. Przytem robiła do męża słodkie oczka.

— Wiesz, tyle mi naopowiadałeś różnych historii... Dziś ja ci coś opowiem...

— No co?

— Nie mogę tak... głośno. Chodź na kanapkę. Siądź tutaj... Połóż głowę na ramieniu... Zamknij oczy... Coś ci wleci do uszka... — Zaczęła mówić, ale śmiech przerywał jej opowiadanie.

— Skąd to wiesz?

— Jaga.

— Ach, ona... Czego też te dzisiejsze panny nie wiedzą! Makuszyński ma rację: „Minęły te szczęśliwe przedwojenne czasy, gdy panna była panną“. Dziś, jeśli nie w czynie, to w myślach... Mniejsza o obecne panny. Zdaje się słuchać z zajęciem, bo tak pamiętasz...

— A ty? Przecież mi mówiłeś tyle rzeczy, o których nigdybym się nie dowiedziała, — zadąsała się, — które mi na nic nie były potrzebne.

— Jesteś mężatka, to co innego. Zresztą mówił ci mąż.

— Mówił mąż... A dlaczego? Teraz wiem... Otwierałeś przedemną jedną furtkę za drugą... zupełnie mi nieznaną... żebym zechciała nią pójść. Przypomnij sobie ten wieczór po teatrze... Co wtedy robiłeś? Co chciałeś, żebym ja...

— No, nie mówmy o tem. — Nie wiem, — potarł ręką czoło, — nie wiem czybyśmy się dziś zrozumieli. Nie chodzi zresztą o ten romans pani Heleny... Więc byłaś w Łazienkach? Sama... A gdy cię prosiłem dziś rano... Ale i o tem nie mówmy...

Pewno i w tej sprawie nie porozumielibyśmy się...
No, idź spać, mała. Dobranoc.

Nie mógł zasnąć. Słyszał jej spokojny, równy, nieomal dziecinny oddech. A miał wrażenie, że jest sam. W tej chwili ta kobieta była mu obcą i daleką. Jak wówczas, w czasie balu. Jak zawsze, gdy cierpiał...

Wiedział, że skłamała. Wstyd mu było, że nie miał odwagi jej tego powiedzieć. A zresztą po co? Miłość nie jest kościołem katolickim, któremu miłe jest ludzkie upokorzenie. Miłość jest przeciwieństwem wszystkiego co jest pewne siebie, stałe, silne. Miłość jest słabością. Miłość nieszcześliwa. Zresztą, dlaczego pytał? Tagore słusznie mówi, że ludzie po to pytają, żeby im kłamstwem odpowiedzieć. Kto już nie kocha — musi kłamać.

A podejrzenia... podejrzenia tylko torują drogę nieprawdzie. Kłamstwo rodzi drugie kłamstwo, jak pierwsza wątpliwość ciągnie za sobą następną... Błędne koło... Obok głównego kłamstwa, popełnia się kilka drobnych, takich na wszelki wypadek, na zapas, żeby w razie czego mieć zabezpieczony odwrót. I o tem wiedział. Wiedział, że jej już teraz wierzyć nie będzie. Nawet jej słowom prawdy. Bo ciągle będzie podejrzewać. A potem, z tych drobnych podejrzeń, i z tej niewiary urosnie mur coraz grubszy, który ich będzie dzielić, oddalać od siebie. Na kłamstwie, jak na bagnie, nic budować nie można. Dusze wciąż będą się potykać o własne kłamstwa. Bo i on będzie się musiał do nich uciekać, żeby ją lepiej badać, szpiegować.

Przypomniał sobie opowiadanie jakiegoś znajomego. Kochał żonę, był jej wierny, ale ta dęczyła go zazdrością i podejrzeniami: „W końcu ją zdradziłem, bo i co było robić? Wszystko jedno myślała, że ją zdradzam“.

Zaczął sobie kombinować, zastanawiać się. Czy kuzynek bardzo się Krzysi podoba? Nie. Młody jest, przystojny, ale pozatem nic. Lecz cóż z tego? Mówił stary Lukrecjusz: „Rozkosz nie polega na używaniu, lecz na ciągłej zmianie“. Dlatego, nawet nie trzeba być specjalnie interesującym, żeby w pewnym momencie, zdobyć kobietę. Usłużna pamięć znowu myśli jego, która nie umiała znaleźć własnych kształtów, przyniosła już gotowe. „Miłość bardziej podoba się niż małżeństwo, z tej prostej przyczyny, dla której romans jest więcej zajmujący, niż historia“.

Oburzył się na swój cynizm. A przecież sam, tyle razy w życiu... Dla najgłupszej kobiety, dla złudnego blasku, dla jednodniowej chętki można zagubić, zaprzepaścić ogrom uczucia... Ogrom uczucia tak łatwo traci swoją wartość...

Więc co robić? Otworzyć jej oczy? Ostrzec? Wytłumaczyć, że jedynie wielka miłość... Przecież wiedzieć będzie, że czyni to nie dla jej dobra, tylko we własnej obronie... Wierzyła wszystkiemu, co mówił. Czuł się panem i gospodarzem ich miłości. Teraz nagle, przybłąda, trzymanym z łaśki. Zadrzał na samą myśl... Pierwszy raz tak to sobie odważnie powiedział. I dalej będzie mówić... Jest żebrakiem, który monarchę udaje. Nie, naprawdę jest jeszcze carem. Siedzi na tronie, choć lecą już głosy buntu i podmuchy nowych czasów.

— Mów, Krzysia, chcesz coś powiedzieć.

— A tak, że z życiem, jak z kwiatami. Idzie prędko. Tylko, że nasza wiosna nie wróci. Taka niesprawiedliwość! Żadnego stosunku, żadnej proporcji! Te kilka lat młodości... Od dzieciństwa do starości tak blisko...

Uśmiechnął się prosząco:

— Daruj trochę więcej! W twoim wieku tak się to określa... Potem linję się przesuwa... Coraz dalej... Czasem aż za daleko... Aż nieprzyzwyczajenie daleko...

Kreciła się po swoim buduaraku, jakby bardzo zajęta szukaniem czegoś. Nagle stanęła koło Henryka i oparła mu rękę na ramieniu.

— Pamiętasz, Ryś, maszą pierwszą sprzeczkę?

Zaczął się śmiać:

— Ach, jaka była straszna, jak długotrwała!

— Ale jak to było, opowiedz!

— A ty nie pamiętasz?

— Pamiętam, ale opowiedz.

— Widzisz, to było tak: głupiutka Krzysia koniecznie chciała jechać konno. Na klacze jeszcze nie ujeżdżonej: „Nie, nie“, mówił Henryk, „Tak, tak“, mówiła Krzysia. Rozeszli się. Każdy do swego kącika. Upłynęła jedna minuta i druga i trzecia. A nawet piąta i dziesiąta. Każdy w swoim kąciku myślał: „A może to moja wina?“ I myśleli tak długo, i ciągle to samo, zdaleka od siebie, bo aż przez całe dwa pokoje Krzysia powiedziała: „Ja pójdę, przeproszę. On się boi o mnie, a ja jestem zła i koziołek uparty. Ja młodszą, więc głupszą“. A Henryk powiedział: „Ja pójdę, przeproszę. Ona tak tego pragnie, a ja jestem nudny i mantyka. Ja starszy, więc mądrzejszy“. I spotkali się we drzwiach.

Krzyśka, zachwycona, klasnęła w ręce:

— Zupełnie, jak w kinie! Jakie to było śliczne! Jakie dobre!

Po chwili spoważniała i patrzyła na niego szeroko rozwartymi oczyma, które stały się ciemno granatowe, jak chmury przed burzą.

— To myśmy byli? — spytała nieśmiałym szeptem. — Dziwna rzecz, jak my teraz lubimy wspomnienia...

— Dlaczego teraz? Wiesz? Powiedz!

— Nie, nie wiem.

— Jeśli nie wiesz, to jesteś szczęśliwa.

— A ty wiesz? powiedz?

— Bo wspomnienia... Nie, mała, nie warto... Mnie się zdaje, że gospościa ciebie szuka. Słychać człapanie jej pantofli. Idź...

Krzyśka wyszła szybko, jakby zadowolona z przerwanej rozmowy, a Henryk myślał dalej to, czego jej nie chciał powiedzieć: że wspomnienia, to była jedyna czułość tych dziwnych dni, niby spokojnych i pogodnych, a tak dalekich od szczęścia. To była już jedyna kraina dla nich bezpieczna, w której mogło im być dobrze. Wiedział, że wspomnienia grają wielką rolę u progu wspólnego pożycia, gdy ciągle powtarzanie bogaci ubogi jeszcze zapas razem zdobytej radości, gdy chciałoby się je powiększyć, jaknajprędzej, najwięcej nagromadzić szczęścia, żeby nim zapełnić cały swój świat.

Albo wtedy gdy już nic nowego wydobyć z siebie nie można.

XVI

Krzysia siedziała przy oknie z robotą w ręku. Różowe promienie zachodzącego słońca miękko i delikatnie różowiły jej białą suknię... Henryk czytał przy biurku. Podniósł oczy na żonę.

— Au temps quand Berthe filait... Taka ładna jesteś. Taka cicha i jakby półsenna.

— Czekam, żeby mnie ktoś zbudził.

Henryk podniósł się niespokojnie.

— Tak, czekam żeby mnie ktoś zbudził.

Wiesz co robię, popatrz.

— To ładne!

— Będą z tego zazdrostki. Zakryję swoje

okna. Schowam się w głębi pokoju. Ale on przyjdzie, prawda?

— Kto? Miewasz śmieszne pomysły! Kto przyjdzie, kto ma przyjść.

— Nie wiem. Sądzę. Że on przyjdzie. Marzyłam...

— Krzyśka!

— Co za tragiczna mina! Ach, Ryś, przecież to tylko bajka, marzenie! Nikt nie przyjdzie... I zazdrostek w oknach nie powieszę. Możesz spokojnie czytać dalej.

Kartka po kartce wolno się odwracała.

— Myślę, że na wiosnę dzieją się najgorsze rzeczy...

— To dobre, to spokojne. Wie się, co było wczoraj, co będzie jutro.

— Właśnie to jest nudne. Wiadomo co będzie. Lepiej czekać niespodzianek.

— Niech pani dziedziczka tak nie mówi, — prosił żartobliwym tonem. — Jeszcze jakie nie-szczęście z nieba sprowadzi.

Krzyśka nie rozchmurzyła czoła.

— Lubisz teraz wieś. Chwalisz ją. Podoba ci się życie na wsi. A dawniej? Dlaczego nie siedziałeś tutaj? Dlaczego nie patrzyłeś jak zboże rzucają w pulchną ziemię, jak ono rośnie? żeby być ścięte i na drugi rok znów wrzucone w ziemię... Antoni mówił, że nie bywałeś w domu po kilka lat.

— Nie wiedziałem, że dobro, to spokój, — tłumaczył się niemal pokornie.

— Wiem. Mówiłeś to przed chwilą. I często powtarzasz. A dawniej w czym innym, nie w spokoju, szukałeś szczęścia?

Henryk zdawał się nie słyszeć jej słów.

— W spokoju jest cały urok życia.

Krzyśka chciała coś powiedzieć, ale zoba-

czyła wielki smutek w oczach męża. Miękkim, dobrym ruchem zdjęła mu czapkę z głowy, pogładziła po twarzy i pocałowała w czoło.

XIV

Spiesznie piła kawę. Wstała, gdy mąż wszedł.

— Gdzie idziesz?

— Mam konferencję z ogrodnikiem, — oświadczyła bardzo poważnie.

— A może i mnie wolno wziąć w niej udział?

— Nie.

— Nie? Tak stanowczo? Ja nie będę przeskadzał.

— Daj spokój! Ogrodnik będzie się śmiać. Musimy ciągle być razem...

— A musimy, — powtórzył urażony. Dawniej...

— Dawniej? Nie widzę wcale powodu...

— No, dobrze już, dobrze... Nie będę przeskadzał...

Zasmuciła się jego smutkiem.

— Zreszta, ja myślałam... Miałaś jechać w pole...

— Już wróciłem...

— No to przyjdź, trochę później.

— Zobaczą przez okno. Gdy skończycie tę swoją konferencję...

— Dobrze.

Była już w drzwiach. Chciała być samą. Od powrotu z Warszawy tak często chciała być samą.

— Proszę pani dziedziczki, trzebaby zrobić porządek z truskawkami. Żeby na przyszły rok...

— Na przyszły rok... — Powtórzyła nie umiejąc tym słowom nadać żadnego obrazu.

— A może pójdziemy jeszcze do oranżerii?
Jak przekwitną wiosenne kwiaty chciałbym coś
innego posadzić na klombach... Żeby na jesień.

Zadrzała z łęku. Wiosenne kwiaty przekwit-
ną i znówu będzie jesień.

— Tak, ogrodniku... Naturalnie... Jutro zaj-
dę... Pogadamy...

Poszła śpiesznie w stronę alei lipowej. Za
chwilę Henryk był przy niej.

— Czegoś taka wzburzona?

— On mi mówił... że wiosenne kwiaty
wkrótce przekwitną...

— Aż ogrodnik musiał ci to powiedzieć?
Cóż z tego? Zresztą ty zawsze mieć będziesz
l'âme en fleur.

— Wiosna idzie tak szybko, że nie można
się nią nacieszyć! Kwiaty (tak prędko przekwita-
ją!... Najpierw były fijołki... A teraz są moje ułu-
bione narcyzy... A zaraz ustąpią miejsca bzo-
m... Po nich, gorączkowo, śmiesznie przyjdą konwa-
lje, jaśminy. Nie znoszę jaśminów! Ale to wszyst-
ko jedno. To już koniec wiosny...

— Zapomniałaś o akacji?

— Ładne łódeczki z kości słoniowej... Tylko,
że one już stoją na pograniczu lata. Na szczęście
jest jeszcze storczyk. Ten zapach, ten zapach...
gdy wieczorem napelnia pokój... Płynie z każ-
dym ruchem. Mój ukochany storczyk! Czuć
w nim zapach lata, odurzający, tajemniczy. Tak
nęcający, jak grzech. Czasem biorę gałązkę i kładę
ją sobie pod poduszkę...

— Krzyśka, nigdy mi tego nie mówiłaś!

— Nie mówiłam? Mówiłam. A może i nie.
Taka drobnostka. Jest więcej rzeczy, których ci
nie mówię.

— Krzyśka!

— Żartuje.

— Ja teraz nie wiem, kiedy ty żartujesz.

Cofnęła się zdziwiona.

— Dlaczego... teraz?

Szli w milczeniu.

Słyszy wołanie o inne życie — któremu stoi na
zawadzie. Ale dotąd jeszcze jest carem. Trzyma
się swej władzy i chce przy niej trwać. Jakkol-
wiek wie, że krzywdę czyni najwierniejszym pod-
danym... Nie zdradza się. Ach! jaka ostra panuje
u niego cenzura! Ale cenzura, śmieszna broń, prze-
cież ona nie zabija swobody myśli. Więcej, to
broń obosieczna... Walczyć z nią można konspi-
racją. Ach, czemuż nie jest mu dane panować
w państwie konstytucyjnym! Nie jest. Władza je-
go jest ciemna, zabójcza, gniożąca. Ale trzymać
się jej będzie. Bo wie co czeka zdetronizowanych
carów...

Nagle doznał uczucia wstydu, dotkliwego
wstydu. On, człowiek, co zna rozkosze życia, ha-
muje i gwałci jej pragnienia. Przecież skarby ca-
łego świata nie wystarczą, by opłacić dług za-
ciągnięty u jej młodości. Ona taka piękna... Taka
bogata natura... Taka w niej zdolność kochania...
Tyle *intelleto d'amore*...

Myślał o tem, że są różne typy ludzi. Jedni
dają sobie robić operację ślepej kieszki à sec,
drudzy pod groźbą konieczności... On dawniej ni-
czego się nie bał, patrzył mężnie niebezpieczeń-
stwu w oczy, chlubił się tem, że sam kieruje
swem życiem. Wiedział, że gdyby był chory,
wołałby zamiast obawy i ciągłego niepokoju,
podać się operacji dobrowolnie, kiedy zechce.
Nie czekając ostateczności, która może przyjść
jutro, ale może i nigdy nie przyjdzie. Z miłością,
to co innego. Czekać... Choć czuł, że jest nad
przepaścią, że grunt łada chwila się usunie,
wzrok zawiedzie, noga się poślizgnie, przyjdzie
zawrót głowy... Tyle niebezpieczeństw!... Czekać
aż nieszczęście samo przyjdzie... Już wisi nad

nim, dotyka go, próbuje jego wytrzymałości, jego dumy. Zniża się, chowa, nie ma odwagi stawić czoła. Bo przecież każdego dnia szkoda! Każdy dzień taki drogi! A tak już tych dni niewiele!..

Cichutko, pomału wyciągnął rękę i napotkał nią warkocz Krzysi. Jeszcze ciszej, jeszcze powolniej podniósł go do ust.. Oto kobieta dla której cierpi... O którą walczy... Dotąd tylko — ze sobą samym... I z nią...

Czy warto walczyć? W tej chwili miał wrażenie, że sił mu wkrótce braknie. I dobrze. Wtedy podniesie przyłbicę i pokaże twarz zmęczoną. Podda się. A tymczasem nie. Prędzej lub później... Wszystko w nim wołało: później, jak najpóźniej!..

— — — — —
Nazajutrz rano polityka uprzejmego milczenia. Krzysia była nawet uprzedzająco grzeczna, ale oboje unikali dłuższej rozmowy.

Gdy popołudniu Henryk wrócił z posiedzenia, spotkała go żona przy drzwiach.

— Chciałam ci coś powiedzieć...

— Proszę.

— Jedźmy dziś do domu...

— Dlaczego? Mieliszmy jutro...

— Tak, powiedz żeś dostał depezę. Mogłeś dostać w Zakopanem, możesz i tu. Bardzo mi na tem zależy, — dodała z naciskiem.

— Jak chcesz, dziecko.

XIII

W jasne wiosenne południe szli między dwoma puszystymi dywanami oziminy. Nagle Krzysia zatrzymała się, wyciągnęła rękę przed siebie, z uśmiechem na ustach. Uśmiech miała dziecinny, mimowolny.

— Do czego, do kogo się uśmiechasz?
Ogarnęła oczami młodzieńczą zielen, niewinne niebo i słońce nieśmiałe, nieświadome jeszcze swych uroków.

— A do mnie?

Popatrzyła na męża uważnie. Elegancki, zgrabny, z lekko na skroniach siwiejącymi włosami, ze spokojnymi oczami.

— Do ciebie też, — skłamała uprzejmie i poszła dalej...

Po długiej chwili milczenia, zaczęła mówić niby do siebie:

— Te śmieszne, małe trawki, będą rósć... Podniosą w górę główki i ozdobią się kłosami. Teraz, to mi ledwo buciki zasłaniają, potem będą do kolan, a potem obejmą mnie w pól...

— Jeśli będzie dobry urodzaj...

— A jeszcze potem czik, czik, — zrobiła smutny ruch ręką, — i zetną je. Powiążą w snopy, zmłóca i znów rzuca w ziemię...

— Dodaj w ziemię zorana, pulchną.

— Mniejsza o to. A na wiosnę... Tak ciągle, to samo wokół. To nudne — niespodzianie rzucała z gniewem.

— Sądziłem, że przynajmniej teraz jesteś zajęta swoją robotą. A ty myślisz o najgorszych rzeczach. Ale ciekaw jestem co dla ciebie jest najgorszą rzeczą?

— Nie wiem. Może komuś uczynić krzywdę? A może sobie?

— A którąś — krzywdę wybrała?

— Właśnie, że nie wiem. Ty mądry, powiedz.

— I ja nie wiem, co jest większą krzywdą, sobie, czy komu...

Podeszła do męża i spytała stłumionym głosem:

— A ty? A ty?... Jak w życiu postępowałeś?

— Co za pytanie?

— Mnie wolno wiedzieć! To nie jest cieka-
wość... Ja muszę wiedzieć...

— Dziecko, dziecko.

— Ja już nie dziecko.

Milczenie.

— Słuchaj, Ryś, zostaw raz swoje książki.
Wiecznie te książki! Przyrodnik, mój Boże, że-
bym ja... Czy przyrodnik musi siedzieć nad książ-
kami, gdy wszystko woła tam, w ogród, w świat?...

— Chodźmy. Tylko weź szal.

— O szalu zawsze będziesz pamiętać. Ty do-
bry...

Wsunęła mu rękę pod ramię i szli sklepiona
aleją grabów.

Sielankowa noc wiosenna, ze srebrnym łukiem
księżycy, rozdzwonionym od śpiewu ogrodem,
białą czeremchą i pierwszym powiewem, nieśmiało
jeszcze rozkwitających bzów.

— W tym parku odcięty od świata, ty taka
biała... Wyglądasz, jak kasztelanka, co mieszka
za siedmiu murami.

— A ty kto?

— Jak myślisz?

— Może smok strzegący kasztelankę. A może
czarodziej?

— Prędzej czarodziej. Smok nie. Smok by na
nią czyhał.

— A czarodziej? Myślisz, że on jest bezinte-
resowny?

— Nikt na świecie nie jest bezinteresowny.

— A, proszę... Już o tem wiesz?

— Czarodziej, chociaż udaje, że go to nic nie
obchodzi, chce kasztelankę usidłać swemi czarami.

— To też źle... Może wszystko jest złe. Każde
pilnowanie i każde czarowanie.

— Jak ty to dziwnie spokojnie mówisz!

— Wiesz, kiedy człowiek jest spokojny? Gdy

jest bardzo pewny, albo gdy wszystko rzuca na
jedną kartę.

— A ty?

— Ani jedno, ani drugie. Więc ci się tylko
wydaje, że jestem spokojny. Usiądźmy.

— Nie. Chodźmy tam na górkę. Do tej ła-
weczki między brzożami. Pochyliła się ku niemu
ze zwierzeniem: — Wiesz, jak nazywam tę ła-
weczkę? Tak ją lubię! „Miejsce na smutek ła-
skawsze!“

— „Miejsce na smutek łaskawsze?“ Miewasz
smutki skoro szukasz miejsca na nie łaskawszego...

Krzysia zaczęła się bronić:

— Naturalnie... czasem... Każdy ma swoje
smutki...

— A ja łudziłem się, że ty przez te trzy lata
żadnego smutku nie miałaś.

Zarumieniła się tak, że w mroku zobaczył jej
nagle purpurową twarzyczkę. Usiedli.

— Przysuń się do mnie. Daj mi tu główkę.
Gdy czuję cię tak blisko przy sobie, lepiej cię ro-
zumiem. Każde twe słowo widzę jasno. Może
zresztą i bez słów, prawda? Cicho, cicho...

Ogarnęła ich obawa, że właśnie bez słów, za-
dużo się wie... Henryk przypomniał sobie Rittnera:
„Małżonkowie mówią sobie wszystko bez słów,
czy chcą, czy nie chcą“.

— No, Krzyśka, opowiadaj dalej, to co tam
w pokoju... Marzyłaś?

— Daj spokój, Ryś, daj spokój... Ja żartowa-
łam...

— Żartuj dalej. Lubie, gdy żartujesz...

— Ale może lepiej o czym innym...

Znowu milczenie. Tylko słowiki...

— Nic nie mówisz, maleńka. Może o tej krzy-
wdzie? Dlaczego pytałaś?

Krzysia niewiedomo jak stała się bardzo od-
ważna.

— Ja mam kilka strasznych rzeczy do powiedzenia.

Przytulił ją mocniej:

— To mów.

— Ryś, ja... Ryś, ja nie wiem... Nie umiem... Ryś, ja chcę żyć!

Wstrząsnął się cały. Przyszło to, o czym wiedział, że przyjdzie. To, co odsuwał całą mocą swej nad nią władzy. Trzeba się dalej bronić, do ostatka, bronić, choćby już tylko przed samym sobą.

— Dziecko, kochanie, żyć... A czy nie żyjesz? Czego chcesz jeszcze?

— Tak, ja wiem, twoja miłość. A, a jeśli to zamało?

Nie miał siły zapytać o jej miłość.

— Więc czego ci trzeba?

— Nie wiem, nie wiem. Tylko wiem, że trzeba czegoś innego.

Henryk schował twarz w dłonie. Mówił jak by sam do siebie.

— Ma jeszcze czas, ma jeszcze tyle czasu... Odsunęła się od niego i rzuciła w tył:

— Nie, nie. Nie mam czasu. Życie idzie, ucieka. Tak szybko! Potem nie można go dogonić! Wiesz, czasem budzę się w nocy i słyszę jak w rynnie spada woda, kropla po kropli. Rytmicznie, jakby jakiś wielki zegar. Każdą chwilę znaczy. A żadna chwila nie wróci...

— Ale ty jesteś taka jeszcze młoda!

— A kiedyś nią nie będę! I będę żałować każdego straconego momentu.

— Nie kochasz mnie już?

— Kocham, kocham... Ale to co innego. Ja ciebie kocham cicho i spokojnie, jakby sennie... Tu wszystko śpi... U nas w domu... A gdzieś tam wszystko żyje. W każdej chwili. I z każdej chwili korzysta.

— Kto ci te myśli podsunął?

— Nikt. A może ty? Przecież ty żyłeś... Dziś zamknąłeś się na wsi, zrobiłeś sobie cichą i pogodną jesień — ze mną, słodkimi owocami twojej jesieni.. A kiedyś było inaczej...

— Skąd wiesz?

— Ach, mniejsza o to. Wiem, albo czuję... To wszystko jedno...

— Więc co?

Posmutniała:

— Więc nic. Ja nie wiem co.

— Krzywda?

— A tak.

— Powiedz mi jedno. Powiedz szczerze. Dlaczego pytałaś, jak ja? Dlaczego? Czy jeśli kogoś skrzywdziłem, to i tobie wolno? To ci rozwiąże ręce? Chcesz się mścić? Sądziś, że w miłości, to tak jak w twojej buchalterji? Jest jakiś debet i credit? Mała, śmieszna dziecino! A jeśli nie?

— Ja nie wiem. Ja nic nie wiem. Może to i śmieszne. Nie umiem tego powiedzieć. Nie wiem dlaczego. Coś mi się zdawało...

— Chcesz żyć, a życia nie rozumiesz. Mówisz frazesy. Rządzić się chcesz jakimiś teorjami. Ale nie o to chodzi. Powiem ci — utkwiał w niej oczy, jakby chcąc wpoić najgłębsze przekonanie: — tak, żyłem. Używałem życia. Piłem, jak się to pospolicie mówi, ze wszystkich źródeł. Ale nigdy, wierz mi, żadnej krzywdy... Nikomu. Rozumiesz mnie?

Zamyśliła się chwilę, a potem popatrzyła na niego trochę zdziwiona, a trochę niedowierząca:

— To byłeś szczęśliwy... A mogłeś wszystko... Bez żadnej krzywdy... Zimno — chodźmy do domu.

Któregoś dnia Krzysia powiedziała mężowi, że wybiera się do Warszawy, żeby załatwić wiosenne sprawunki. Powiedziała to tak stanowczo i tak naturalnie, że nie miał czasu zdziwić się. Po raz pierwszy nie przyszła go o coś prosić, ani radzić się, tylko wyjawiała swoje życzenie, jako rzecz nie ulegającą wątpliwości.

— Dobrze, dziecko, kiedy wrócisz?

— Jutro rano.

— Ile ci trzeba pieniędzy?

— Obliczę i powiem...

Odeszła, zostawiając go przy otwartym oknie, już nieczytanej książce.

W miarę jak się zastanawiał, coraz bardziej się oburzał się na swą niespodzianą uległość. Wskazywał przekreślić całą rozmowę, traktując ją jako żart.

Napróżno jednak silił się na spokój. Co się stało? Dlaczego ta mała nagła śmiała wystąpiła. Był zdecydowany nie podlegać jej i myśleć w czasie podwieczorku rozmowy o Warszawie. Ale Krzysia wydawała się tak zajęta przygotowaniami do podróży, że nie zwróciła uwagi na manewry męża. Schrupała cały talerz rzymskich świętutkich rogalików i pobiegła do sypialni. On zaś nie wiedział co ma ze sobą zrobić. Sądził, że jakieś zajęcie może go rozzerwie. Wydał rozporządzenia na folwarku, o coś się gniewał, coś chwalił, ale czuł, że to go nic a nic nie obchodzi. Kazał osiodłać konia. Pojechał w pole, obojętny na wszystko, oddany nowym myślom.

Prostostu zaskoczyła go swem nieoczekiwanym wystąpieniem i dlatego przyjął je tak spokojnie. Trzeba, po powrocie do domu, zapytać ją ostro co to znaczy, albo najlepiej potraktować

obróci, zawsze mu jakaś nowa myśl towarzyszy. I to go bezmiernie męczyło. Raz zdawało mu się, że znalazł ratunek. Bardzo prosty. Aż się zdziwił, że tak późno... Wyjechać zagranicę. Zaraz. Przecież ona o tem marzyła. Rzeczywiście, w ostatnich czasach życie ich się popsuło. Było to coś tak nieuchwytnego, że zdołał to zanalizować jedynie na podstawie porównania. Człowiek jest taki głupi, że nawet nie wie, kiedy jest najszczęśliwszy! Dopiero potem, gdy oboje siebie postawi różne epoki życia...

Dwa pierwsze lata były zupełnie inne, i ona była zupełnie szczęśliwa. Wszystko ją cieszyło, bawiło. Dom, gospodarka, wieś, a przedewszystkiem on. Wtedy dni szły tak szybko, tak dobrze, tak ciągle razem. Każdą myśl, każde uczucie miał, zdawało się, w rękach, niemal w rękach. Teraz zaczęło się psuć, nici wiążące ich serca rozsuwać, rozstrząsać. To ona prowadziła destrukcyjną robotę. Czy to myślnie, czy nieświadomie?

Warunków. Obcy świat, inni ludzie. Fala rzeczy, jak pokazywał uczucia. Nauczył się, jak nauczył czuć. Śmiała się kiedyś, że nauczyła się dzięki swą „*éducation sentimentale*”.

Układali sobie, że pojedą w jesieni. Pojadą razem. Tyle już razy podróżowali fantazją. W zimowe, długie wieczory, sadzał ją na kanapce, obok siebie, i zachęcał słowami ulubionego poety:

Mon enfant, ma soeur

Songe à la douceur

D'aller la-bas vivre ensemble!

— Gdzie dziś jedziemy?

Krzysia śmiała się i wołała, że chce do Paryża. Na kolanach rozkładali jakiś album, ale to był tylko schemat. Henryk tak żywo wywoływał z pamięci widziane niegdyś obrazy, że stały się już Krzysi niemal bliskie. Jak dziecko, które najwięcej lubi dobrze znaną bajkę, stosownie do usposobienia, prosiła o to lub owo opowiadanie. Rzadko

chodzili do Luwru oglądać obrazy, lub pograżali się w tajemniczą mgłę Saint- Louis. Najczęściej, klaszcząc w dłonie wołała, że chce „do ludzi“.

— Widzisz, jak w mroku błyszczą i jaśniej *rue Royale*? To z wystaw bije światło klejnotów. Klejnoty najpiękniejsze w całym świecie. Chodźmy. Co ci kupić?

— Brylanty, opale, szafiry, i beryl, beryl, Maryji z Magdali!

Słowami ubierał jej czarne włosy w połyskliwy diadem; szyję okręcał perłami renesansowych księżniczek, stroił nagie ręce w bransolety, na palce wsuwał pierścienie.

A potem szli bawić się... Na *bal Tabarin*. Krzysia zdziwionemi oczkami patrzyła na te pary, które magiczna latarnia przed nią przesuwala. W różnorodnym i różnobarwnym tłumie nie można było odróżnić kokot od wielkich dam. Mała „etranżerka“ śmiała się cichym a tak wymownym śmiechem, że Henryk z niepokojem chwycił ją za rękę.

Czasami jechali na południe. Szli starą drogą rzymską. Szli wysokim nasypem, a u stóp ich, jak w kalejdoskopie, przesuwaly się białe wille, strojne, niby na święto, wieńcem z róż, gdzieś, w rozpadlinę górską spadające gaje oliwne, dywany grządek kwiatowych, uśmiechnięte do słońca i rozkoszne, jak młoda dziewczyna grzejąca się na piasku.

A w dali morze upalnego dnia, w rozpylnym świetle jasne, prawie białe, roztańczone, beztróskie.

Czasem szmaragdowe, w drobne zmarszczki pofałdowane, zarzucone gazą fioletu, kapiących się w niem, burzliwych chmur.

Albo o zachodzie, na małe różnobarwne jeziora podzielone.

W noc księżycową prawie czarne, o migotliwym odbłyску srebra, jak stara żałobna kapa ko-

ścielna. Gdy nagle wiatr poruszy fale zdaje się, jakby z tej topieli tysiące dziwożon wyciągały w górę ramiona.

Niekiedy zapraszał ją, by podniósłszy wysoko sukienkę biegała po lazurowym brzegu. Szukała barwnych kamieni, przytykała do uszka muszle, powierzające jej swe tajemnice i zwracała morzu ametystowe żyjątka, które złośliwa fala na brzeg wyrzuca i wziąć z powrotem nie chce.

Kiedyś kapali się w czasie burzy. Niebo stało się nagle różowe, jak o zachodzie słońca, a chmury miały kształty fantastyczne, niby ilustracja do najfantastyczniejszej bajki.

Pieścił ją morzem, słońcem, powietrzem. Słowami pokazywał jej białe łodzie, z których słońce dobywa jakąś niesamowitą biel, w wietrze lecące żagle malowane okrą i wielkie statki błędzące po morzu. To wszystko było tylko dla niej:

*C'est pour assouvir
Ton moindre desir
Qu'ils viennent du bout du monde.*

Wiozą jedwab na poduszczyk, pod jedno szafirowe oczko, kość słoniową na wachlarzyk i puch kolibra, żeby miała pantofelki jak Salome Beardsley'a.

Kiedy indziej pytał:

— Chcesz do Neapolu?

— Chcę.

— Nie. Lepiej zwiedzimy Pompeję. Ach, jak je będziesz oglądać, ty moja panna ciekawska! Biegać od kącika do kącika, o wszystko pytać. Ale cię nie zaprowadzę do *chambres d'amour*, pełnych niedyskretnych popiołów.

— Zaprowadź, zaprowadź, — prosiła.

Pochylił się do jej ucha:

— Tylko jeżeli...

— No to nie chcę. A może?...

Przypominał sobie jak było w marzeniach.

A jak będzie w rzeczywistości? Złakł się. Może wyjechać — to gorzej? Dopóki się jest na tem samym miejscu, życie idzie siłą rozpędu, ma swe karby, zgóry oznaczone; przyzwyczajenie, to najsilniejszy węzeł. Tu wszystko ujęte jest w normy, tu płyną znane dni i jeszcze długo tak spokojnie płynąć mogą, tam wszystko inne, gorączkowe. Przychodzą nowe wrażenia, nowe uczucia, dla których trzeba szukać nieznanych jeszcze kształtów. Trzeba na nowo tworzyć życie. Wtedy widzi się... On już do tworzenia sił nie miał, a ona, czy będzie chciała mu pomóc? A jeżeli wogóle nie zechce jechać? Dawniej tak chciała, ale teraz? Może zapragnie Paryża, jak zapragnęła Warszawy? Nie z nim, lecz... samą? A co będzie, jeśli tylko wzburzy w niej tęsknotę poznania świata, bez niego?

Chwilami był tak szalenie zmęczony, że nie pragnął nic, prócz spokoju. Gotów był zrezygnować... Czy człowiek dojrzały powinien wstydzić się rezygnacji? Rezygnacja to mądrość, na którą zdobyć się może tylko ktoś, kto zna znikomą i błahą wartość życia. Gdyby nawet... Nie chciał nic nazwać, ani pomyśleć. Ale gdyby nawet... Zamknie oczy. Czy można wszystkiego pragnąć? Półszczęścia i pół-prawdy, to już tak wiele! Będzie czekać. Już nie może brać wszystkiego, odważnie i bezwzględnie... Weźmie to, co mu ona wspaniałomyślnie ofiaruje. Będzie czekać... Byleby nie długo... Niech tylko wróci.

Albo lepiej... Ach, gdybyż to można było! Pomału, pomału wyrobić w sobie... Traktować ją jako radość życia, nie całe życie. Mieć poczucie, że ona nie jest istotą konieczną, nieodzowną, tylko taką miłą niespodzianką losu, która śpi obok, którą się widzi, całuje... I samemu mniej kochać. Kochać z kagankiem nałożonym na uczucie. Nie mówić jej tak ciągle o miłości. Trochę dyplomatyzować...

Zaczął śmiać się z samego siebie... Wiedział, że tak nigdy nie potrafi. Tak bardzo, tak warjacko kochał tę kobietę...

XVIII

Krzysia wygodnie rozlokowała się w przedziale pierwszej klasy. Była bardzo zadowolona, że jest sama. Rozłożyła na kanapie, jak zawsze Henryk to czynił, koc, wydołała skórzaną poduszczkę, wyjęła książkę, której nie miała zamiaru czytać i z wielką ciekawością otworzyła torebkę z jedzeniem. Kazała gosposi przygotować sobie na drogę, tak jak zwykle, ale była pewna jakiejś niespodzianki. Gosposia, to ogromnie pomysłowa osoba i wie, że pani dziedziczka lubi smaczne rzeczy. Było naturalnie pieczone kurczę, takie doskonałe, jak mogło być tylko w Sławoszewie, farsz pyszny, pyszny, pierwsza klasa! Dwa jajka na twardo i sól starannie zawinięta („ona nigdy nie zapomni, a jabym zawsze zapomniała“), kilka kawałków doskonałego chleba z kminkiem, takiego co to schodzi na wodzie, i zgrabniutki, małe, jak dla lalki, bułeczki. Widocznie ta pocziwina wczesnie wstała i upiekła świeże. W tej będą konfitury, a w tej masa orzechowa. Tak się to zawsze na drogę bierze. Na dnie torby jabłka, renety, brunatne, pomarszczone jak stara babcia. Ale doskonałe. Zostawia się je w kącie piwnicy, na tej półce z dziurkami, niech czekają Zielonych Świąt. A często, to nawet dotrwiają do „nowych“. Wtedy, z wielkiem dyshonorem, gosposia wynosi je w fartuchu. W kuchni „trzyma“ mowę i oświadcza wszem wobec i każdemu z osobna, że takich jablek nie ma na świecie, tylko, z dziada pradziada, rodzą się w Sławoszewie.

Naturalnie w termosie znalazła się ciepła herbata, w miarę osłodzona. Krzysia popiła nią im-

prowitzowane śniadanie, zamknęła śmieszny aluminiowy kubeczek i wszystko porządnie pochowała. Spojrzała na zegarek. Dopiero dwunasta. Co teraz robić? Jeszcze do Warszawy siedem godzin. Z Henrykiem podróżować, to co innego. Opowiada zajmujące rzeczy, umie na wszystko zwrócić uwagę. Ale ona sama też potrafi...

Będzie patrzeć przez okno. Jak to sobie biegną, uciekają napięte struny drutów telegraficznych... Czasem, jakby się wygięły i opadają nisko, nad ziemią, a czasem podnoszą się i w złotym słońcu wiosny nikną wysoko, wysoko... Chmury też warto oglądać... Chmury są zawsze dziwne i ładne. Szczególnie o zachodzie — perłowe, pokryte różową mgłą. Taka suknia byłaby śliczna! Ale takiego materiału nigdzie się nie znajduje...

Goniła spojrzeniem czerwone latawce, które chłopcy puszczali. Krwawy płatek kręcił się, furczał, potem rzucał w błękit i nikł bez śladu. Z powagą odpowiadała na wesołe okrzyki dzieciennych powitań lecące wzdłuż pociągu. Jakby je wydawano na jej cześć, na cześć młodej osoby, jadącej samotnie do Warszawy. Z ciekawością patrzyła na jaskółki, siedzące sznurkiem na oparciu jakiejś ławki. Wyglądały jak grzeczne pensjonarki. Włożyły białe fartuszki na granatowe mundurki i wyszły na spacer. Śmiała się do sosen, które oplótłszy się gałęzmi tańczyły wokół jakiejś łąki. Sosny były śliczne, wysokie, strzeliste...

Godziny najpierw leciały, potem biegły, szły, w końcu wlokły się nudnie i beznadziejnie. Ach, na koniec Warszawa! Zdaleka widać miasto. Serce jej zadrżało niepokojem — jedzie do Warszawy sama. Dlaczego chciała pojechać? Nie wiedziała dobrze, gdy mówiła o tem Henrykowi. I teraz nie umie sobie zdać sprawy. Zresztą myśleć się o tem nawet nie chce.

Pociąg z wielkim hukiem przeleciał przez most.

Wisła. Cytadela. Przypomniała sobie wszystko co o niej wiedziała, aż do wybuchu i bardzo się zasmuciła. Ale oto już i dworzec gdański. Potem kominy fabryk, niezgrabne, grube rezerwuary, ohydne jakieś domy i stop... Przyjechała.

Była bardzo zajęta sprawą tragarza. Henryk mówił, że trzeba zawsze pamiętać numer. Pamięta — 57. Ta myśl tak ją pochłonięła, że zapomniała o chwili lęku, że jedzie sama, i chwili smutku, że przecież w cytadeli... I nie myślała nawet o tem z czego się w drodze cieszyła, że ubrawszy się ślicznie i wiosennie pójdzie z Marią w Aleje. I nikt nie będzie patrzeć na nią badawczo i nikt nie będzie pytał, co myśli. A może ktoś przechodząc uśmiechnie się do pięknej pani?

Granatowy kapelusik z cytrynowem denkiem i cytrynową wyzywającą kokardą pobiegł wesoło po peronie za numerem 57.

XIX

Henryk był w swoim gabinecie, gdy mu doniesiono o przyjeździe Marji. Grzał się przy kominku w ten nagle smutny dzień wiosenny.

— Krzysia? zapytał niepewnym głosem.

Maria uściskała serdecznie podaną sobie rękę i popatrzyła w twarz Henryka, spopielałą i jakby zgaszoną.

— Krzysia... Krzysia została w Warszawie.

— Jakto, co się stało?

— Chce być samą.

Oburzył się.

— Proszę pani, tego doprawdy dość... dziś nikt nie gra Nory.

Maria podniosła na niego swe poważne oczy.

— Proszę tak nie myśleć. Nie gra żadnej roli.

Ale ona mówi, że chce żyć...

— Słyszałem już ten frazes. A tu nie żyła?

— Tu? Pan przecież jest bardzo rozumny. A jeżeli ona chce żyć choćby cierpieniem, choćby codziennością? Pan odgrodził ją od świata...

— Chciałem uchronić od cierpień. Ja nie egoistycznie...

— Nawet gdybym uwierzyła... A jeżeli ona pragnie cierpieć?

— Chciałem od szarżyny...

— To właśnie jest frazesem. Proszę wybaczyć, że tak ostro mówię. Pan chce ją mieć dla siebie — niepodzielnie. Pan przeżywa w niej raz jeszcze swoją młodość...

— Kocham ją.

— Tak. Pan ją bardzo kocha. Nawet więcej kochać nie można. Od szarżyny uchronić? Co jest szarżyną życia? Inaczej to rozumiem. I może Krzysia też. Szarżyną jest wszystko nie opromienione naszym pragnieniem, naszą świadomą wolą. Więc może nią być i zewnętrzne piękno życia, którym pan Krzysię otoczył. Niech się pan przyzna... Przecież pan wobec niej kłamał... Roztaczał przed nią fałszywy obraz życia? Nieraz słowa pana miały cel — pedagogiczny.

Spuścił głowę i rzekł głucho:

— Kłamałem. W obronie własnej każdy kłamie. Choćby nie wierzył, że to coś pomoże.

Zaczął szybko chodzić po pokoju. To wszystko, co dotąd słyszał, to jeszcze nic, przecież Marja nie powiedziała czegoś nieodwołalnego. Nie pytać, może nie powie...

— Panie Henryku!...

Teraz już wiedział, że zwlekać nie będzie, że jest odważny.

— Więc ją straciłem? Ktoś inny?

— Dziś nikt. I może nigdy...

Zaczął się śmiać.

— Chce mnie pani łudzić?

— Nie, ale mówię co myślę. A może źle my-

ślę? Wiem tylko jedno: ona siebie odzyskała. A raczej odkryła, posiadała, czy stworzyła. Wyjrzała poza mur, za którym ją pan ukrył. Zstąpiła z wyżyn, na które ją pan postawił i pójdzie... Może jeszcze się spotkacie...

— Dość! przepraszam panią bardzo... Ja sądzę, że nie mamy już sobie nic do powiedzenia. Służący wskaże pani pokój.

Zbliżył się do dzwonka.

— Dziękuję panu. Zaraz wracam. Zatrzymałam konie.

Spojrzała na zegarek.

— Za godzinę pociąg odchodzi. A... a Krzysia nie ma pan nic do powiedzenia?

— Nie, dziękuję.

Uklonił się, gdy Marja wychodziła.

XX

Warszawa, 25 maja.

„Mój drogi!

Nie wiedziałam, że Marja jedzie do Sławoszewa. Nic mi o tem nie mówiła. Wróciła bardzo smutna. Boję się, że Ciebie zasmuciła...

Już tydzień jak wyjechałam z domu, nie piszę, nie wracam. Nie mogę ani pisać, ani wrócić. Nie wiem, co się ze mną dzieje? Co mi jest? Ty, taki mądry i taki dobry, to mi powiesz, prawda? Ty wszystko lepiej odemnie wiesz, lepiej odemnie rozumiesz. Ja tylko czuję... A czuję, że mi teraz wracać trudno i trudno być z Tobą. Ale niepokoję się o Ciebie i tęsknię. Bardzo. Poradź mi, co mam czynić?

Twoja biedna Krzysia“.

Przygotowywał się, a był nieprzygotowany. Taka chwila przychodzi zawsze — zawczasie.

Był jak chory, który śmierci się nie boi, a lada polepszenie wyprowadza go z równowagi.

A potem zdawało mu się, że nie miał nigdy żadnych wahań, że wiadomość ta spadła na niego nieoczekiwanie.

Gdyby nagle Krzysia weszła do pokoju, powitałby ją naturalnie, jako coś sobie należnego. Szczęście zawsze wita się jako rzecz, do której ma się prawo.

Można nie mieć nadziei, ale nie można wyzbyć się marzeń.

Odpisał jednak:

„Zostań tak długo, jak będziesz chciała. O mnie bądź spokojna. Nie pisz.

Henryk.

XXI

Zbudził się dnia tego bardzo wcześnie. Przypomniawszy sobie, że wczoraj coś czytał w Kurjerze o jednym znajomym, o którym dawno nie miał żadnej wiadomości. Zaczął opowiadać:

— Krzyśka, słuchaj...

Zląkł się swego głosu i wytrzeźwiał. Podniósł głowę, otworzył szeroko oczy, spojrzał wokoło i upadł twarzą w poduszki. Pierwszy raz to mu się zdarzyło... Dotąd zawsze budził się z całą świadomością swego cierpienia. Rano i w nocy. Nigdy, ani chwili złudzenia... Ręka nawet niechcący, przez zapomnienie nie powędrowała szukać małej, dobrej rączki. Budził się i wszystko wiedział, wszystko pamiętał.

Zła myśl kładzie się koło niego, udaje, że zasypia jak on, ale wciąż czyha. Jakby mu przypomnieć we śnie, jak go zaatakować zrana? Gdy się tylko zbudzi, podnosi swą główkę koło głowy jego przyjacielsko złożoną i mówi: „Proszę jestem na usługi. Nie radziłabym zapominać o mnie. Od wczoraj nic się nie zmieniło! Moja zła moc trwa. „Ależ ja o tobie nigdy nie zapomniałem“. „Wła-

śnie, właśnie tak być powinno“. „Tak jest“. Tylko czasem, gdy był gdzieś na pograniczu snu i jawy, gdy ręce martwe, nogi martwe, a głowa leży w krainie marzeń, gdy rzeczywistość jeszcze nie istnieje i można szachrować i wybierać z życia co się chce, już nieszczęśliwy gracz szuka karty w całej talji, udawał, że wszystko jest tak, jak było. Ale wtedy zdawało mu się, że nie jest sobą, tylko nią. Mówił jej słowami... Cichutko, naśladowując jej pieściwy, miękki głosik, prawił sobie jakieś słodkie pochwały, cieszył się z pięknego dnia co przyszedł, opowiadał co rankiem słońce wyprawia w pokój. „Nikt się nie cieszy słońcem, jak ja, nikt a nikt“.

Miała taki kult słońca, że ją posądzał, iż w tajemnicy przed nim uprawia mitraizm.

Przypomniawszy sobie jej przysłowia, wrażenia, określenia, żarciki, kaprysy, jej myśli dziecinne niby, a takie w treść bogate. Powtarzał je, gruntuwał w pamięci, jako część jej, jako kawał, kawałek jej duszy, której zabrać nie zdołała, którą tu, może wbrew swej woli, zostawiła.

Powtarzanie jej słów było rozkoszą, było ich przypominaniem, ciąglem, świeżem i nowem, było ich utrwalaniem i wyrwaniem z pustki zapomnienia. Przez chwilę wszystko co ze sobą przegadali, przemarzyli znów istniało, miało swą wartość, swój rumieniec życia. Choć jej tu niema. I może nigdy nie będzie.

A drugim źródłem szczęścia, raczej nadziei szczęścia, to był sen. Po wyjeździe Krzysi, gdy szukał wszystkiego, coby go do niej zbliżyć mogło, nagle, niespodzianie doznał radości wielkich odkrywców — sen.

Dla człowieka samotnego sen tak mało różni się od życia realnego!... Przecież nie odeszła od niego zupełnie, jeśli może ją choć by wbrew jej woli, widzieć, kochać, całować. Cudowna moc łamania granic czasu, miejsca, nawet oporu... Tajne

orędzie dusz... Jedyne utrwalenie przeszłości, jedyna możliwość powrotu przeszłości. Skarbnica przeżytych wrażeń przechowująca je bez skazy, żywa w każdym ruchu, niesklamana zapomnieniem. Niecierpliwie i niespokojnie żył w oczekiwaniu nocy. To czego w dzień nie znalazł, co przyjsć nie może, płoszone nawet tak cichem i samotnem życiem, jak jego, zjawi się w nocy.

Szła jedna noc za drugą... Nic. Zasympiał bardzo późno, snem człowieka zmęczonego i udęczonego, którego mózg nic stworzyć, odtworzyć, ani wywołać z pamięci nie zdoła. Dopiero po pewnem opanowaniu nerwów zaczęły przychodzić sny. Ale złośliwe i urągliwe. Przesuwała się przez nie Krzysia, pokazać się jednak nie chciała. Droczyła się z nim, chowała, niby bawiła w ciuciubabkę. Wiedział, że jest, musi być, napewno w tym czy tamtym kąciuku, podchodził, a ona znikwała, lub zmieniała postać. Czasem to było nawet bardzo zabawne. Ta Krzysia, którą już był pewny, że zobaczy, stawała się nagle sławoszewską gosposią, w dużym wyrurkowanym czepku, która chrzęszcząc nakrochmalonymi spódnicami po staroświecku dyga przed panem dziedzicem. Albo nagle, gdy już tylko ręką dotknąć, zmienia się w jakąś znajomą gdzieś, kiedyś przelotnie widzianą, i przechodzi koło niego z obojętną twarzą. Poprostu jakaś sztuczka prestidigitatorska, która z biegiem czasu przeszła w pewien szablon. Zawsze na miejscu Krzysi, w ostatniej chwili, zjawiała się ta sama, zgrabnie podstawiona osoba.

Od poszukiwań gorsze jeszcze były gonitwy. Kiedyś, z gromadą pielgrzymów, — ona wśród nich napewno była, — znalazł się w jakiejś wielkiej sali. Na jednym słupie rozpięty parasol gotyckich żebrowań — pewno Malborg. Usunie jeszcze tę osobę i tamtą, znajdzie się przy niej. Ale przewódca, średniowieczny czarodziej w czarnym

plaszczu, w śpiczastej czapce, daje znak. Z chichotem cisną się wszyscy do drzwi. Po olbrzymich schodach leci tłum. Biegna, uciekają, Krzysia pierwsza. Nadążyć, dorównać nie ma sił. Pada na kamienne stopnie, gdy mu już w oczach zamajaczył granatowy kapelusik z cytrynowem denkiem i cytrynową wyzywającą kokardą.

Czarodziejska laseczka poraz drugi gromadzi wszystkich na oględziny świata. W niebo strzela iglica Notre-Dame. Henryk uśmiecha się — tu już ją znajdzie. Pamięta każdy kamień i zna każdy tajemniczy cień szkarpy. Ale demony znów są przeciw niemu. Do pomocy wezwały małe potworki, co obsiadły dach i wieżę — te o dziobach ptasich i te ohydne — pyski zwierzęce. Zgrabnie stoczyły się w dół i obmyślając tysiące przeszkód. Gdy Krzysia, niby Małgosia wychodzi z kościoła ze spuszczonemi oczyma, Henryk zaczyna iść za nią. Najpierw zdaleka, żeby nie spłoszyć... Potem coraz szybciej, coraz bliżej... Już blisko. A nagle... padł się stary *Pont-Neuf* gdy chciał nogę na nim postawić. A chytra wykretnica kroczy bezpieczna i spokojna po drugiej stronie rzeki, coraz dalej, coraz dalej...

Henryk chce rzucić się wplaw. Ale Sekwana szumi, wzbiera, podnosi się i zalewa kamienne brzegi. Brzydko zielona woda niesie połamane gałęzie...

Pamięć maćć mu się zaczyna, biega to tu, to tam, nie wie jaką drogą dostać się do Krzysi. Ach, prawda, most Alma... Leci, a w uszach szumią mu napoleońskie legendy echa... Nudne, dokuczliwe... Aż tu nagle zakreśliło się przed nim olbrzymie Trocadero, — ruchliwe i zgrabne jak baletnica. Obalił je mocną ręką i znów stoi nad rzeką. Krach, żuawi nie utrzymali mostu, lecą jedne przęsła za drugimi. Na szczęście jakiś usłużny *bateau-mouche*

przewozi go na tamtą stronę. Już jest koło wieży Eiffel. Jeszcze chwila, a polecą windą w górę, razem. Ale potworki z Notre-Dame, które i tu jej strzegą, zanim dopadł pierwszego stopnia dają sygnał do odjazdu. Wolno mu tylko patrzeć, jak wśród żelaznych koronek fruwa jasna sukienka Krzysi...

Biel marmuru medjolańskiej katedry. Chodzą po dachu, niby po najgładszej posadzce. Na błękitnie nieba cień jej postaci. Jej śliczny profil, w rozpalonym słońcu fioleto-czarnych włosów. „Krzyska, czekaj!“ Ale ona nie czeka. Gdy tylko zbliżyć się zaczyna, robi się mała, maleńka jak laleczka, kręci się w kółko, wiruje, szybko, szybko, że jej nawet oczyma uchwycić nie zdoła. Jest tam, jeszcze dalej, dalej... Tylko słyszy jej śmiech, młodzieńczy, jasny, radosny. Taki jak wówczas w Warszawie...

A czasem, gdy ją nawet złapał oczyma, to oczy jego, jego własne oczy, popełniały tysiące zdrad. Patrzyły na pył jej lakierków, na jakiś kawałek koronki, lub grzebień bielący we włosach. A potem, po przebudzeniu, zostawał w pamięci ten pył, ten ruch grzebienia, ta koronka, jakby to było czemś istotnym, nią samą.

Inne sny były jeszcze gorsze. Chciał w niej wzbudzić zazdrość i laskawie przyjmuje wcale niedwuznaczne względy pięknych, bliżej sobie nieznanym dam. Bo wie, że Krzysia to zobaczy, jest blisko, gdzieś się ukrywa, jak zawsze — okrutnica. Więc mówi cicho, żeby dama nie słyszała, może się przecież obrazić: „I cóż ty na to?“ „Ja? Nic. I owszem. Bardzo proszę. Spróbuj...“

Raz uległ... W nadziei nie sennej jakby, ale żywej. W głuchej tęsknocie cudu, do szaleństwa silnym pragnieniu...

Może znów powtórzy się prestidigitatorska sztuczka, tylko *à rebours*?

Z uporem całował nieznane usta, czekając, aż poczuje pod swemi wargami zapach, świeżość, miękkość i — miłość jej warg. Wierzył, że gdy otworzy oczy, zalśni przed nim szafiry jej ocz. To tylko nowy żart małej kapryśnicy... Ale wargi nie poczuły miłości jej warg, oczom nie zalśnił szafir jej źrenic...

Wściekłość go ogarnęła. W opętanym szale żądzy zapomnienia, zagubienia się, darł na strzępy jakieś szaty, gryzł białe ciało... A potem, nagle, odrzucił precz, jak manekin, jak lalkę, udającą żywą istotę.

Całe szczęście, że w tych snach Krzysia była o tyle dobra, czy o tyle dobrze wychowana, że nie chlubiła się swemi warszawskimi podbojami. Ale przyjsć do niego, gdy ją co wieczór, niby modlitwą najżarliwszą błagał o miłość, o złudzenie miłości, błagał najczulszemi słowami, szepcząc najbardziej nęcące tajemnice ich rozkoszy — nigdy nie chciała.

XXII

Henryk był wciąż sam. Uczyniła, jak radził. Nie pisała, nie wracała. Już wiedział, że nie wróci.

Leżał na otomanie i myślał. Najlepiej się myśli, gdy się leży. Bezwładne ciało żadnego oporu żadnej przeszkody nie stawia. Myśl idzie swobodnie: z głowy, oczu, rąk. Myśl jakby nie myśli się, tylko wydziela, emanuje.

Tak jak muzyki nie wchłania się tylko uszami, ale całym ciałem, wszystkiemi zmysłami i wszystkiemi władzami duszy.

Myśl, najwyższa w świecie siła! Ma możliwość odwrócenia wstecz: przeszłości, obejrzenia każdej rzeczy ze wszystkich stron — jak tego nigdy oko nie potrafi. Cofa życie, to znów je wyprzedza, bawi się jak piłką cudzemi pragnieniami, wszystko stworzyć i wszystko zniszczyć umie.

Myśl — dotykanie się dusz bez pośrednictwa ciała.

Myśl — rozkosz najdostojniejsza, myśl bnie ludzki.

Myśl — najbardziej logiczna a najbardziej z wodna droga dojścia do źródeł prawdy.

Przez ten miesiąc od wyjazdu Krzysi tyle się w nim zmieniło! Miesiąc? A jakby tak dawno Rzeczy, które się nigdy nie powtarzają, wyda się takie dawne...

Chwilami, gdy przypominał sobie przeżyte męki i upokorzenia, doznawał uczucia radości. Nie cierpi, jak wtedy. Cierpi inaczej, ale nie tak jak wtedy. Nie jest w stanie zapomnieć o tem, o przebole, ale dusza jego zmęczona i bezsilna, nie ma już w sobie ostrych uczuć, tylko jakiś osłabiający żal. Nie walczyć! Bez wahań, bez wątpliwości... Nie ludzić się ani na chwilę, bo potem jeszcze gorzej... Jakaś łamana linja, co biegnie górę, to znów zniża się raptownie, oznaczając spadek i spadek i podnoszenie się gorączki. To podobno najgorsze dla organizmu. Niech będzie bardzo niska, albo bardzo wysoka temperatura, byleby nie te ciągłe zmiany. Serce nie wytrzyma.

Nie wiadomo skąd i dlaczego przychodził mu porównania z medycyną. Teraz nie leczy się ran plastrami gojącymi, ale wypala jodyną. Tak niech ból wypali jego ranę, niech wygryzie aż do dna. Może pod nią znajdzie się jeszcze żywe ciało?

Śmieszny jest ten France! Mówi, że drażni go i niecierpliwi człowiek, który nie zna co to lek. Lek może być powabem myśli ludzkiej, ale uczucie? Uczucie potrzebuje pewności i świadomości że jutro będzie to, co jest dziś. Przypominał sobie jak zazdrościł ludziom, którzy spokojnie i pewnie mówili: „Za rok“, gdy jego miłość bała się już wszelkich terminów.

Henryk uśmiechnął się ironicznie. Miłość. Ta po wsze czasy otaczana była szczególną opieką... Dziś drogę wskazują czerwone latarnie, dawniej wieńce z róż. Zupełnie zbytecznie. Rozkosz każdy łatwo znajdzie sam, wszędzie. Nie trzeba budować specjalnych gmachów dla jej kultu, nie trzeba ich segregować według kategorii wrażeń, jakie dają... Rozkosz jest tak prymitywnym i bezwzględnym uczuciem, że nie ma różnicy czy na łożu z fiołków, czy na wiazce siana... Zapomniał, jak on sam różnie i inaczej kochał — na łożu z fiołków i na wiazce siana... Pamiętał tylko miłość do Krzysi, która mu na zawsze i wszystko przysłoniła.

Ból nie wszędzie jednaki...

To są jednak dziwne pretensje do państwa i do społeczeństwa... Trudno od nich wymagać, żeby zajmowali się tymi, którzy ład ich macą. Sami winni myśleć o sobie. Jeśli ludzie cierpiący, mający jakąś namiętność, karty, narkotyki, łączą się razem, by w tajemnicy, spokojnie żyć życiem oderwanem, własnym, fikcyjnym życiem szczęścia, to dlaczego nieszczęśliwi nie mieliby stworzyć sobie, dla kultu swoich uczuć, jakiegoś asylum? Cierpiący w miłości. Bo właściwie pod słowem cierpienia, rozumiał tylko cierpienie spowodowane nieszczęśliwą miłością. Prosto *son cas* zasłonił mu cały świat i w nim streściło się pojęcie bólu. Żądza pieniędzy, tęsknota sławy, szal zawiedzionej ambicji, nieodgadniona zagadka bytu, wszystko to wydawało mu się być zabawką w porównaniu do tego, co on przeżywał.

Ale gdzie stworzyć takie asylum? Nie nad morzem — każdy człowiek musi mieć jakieś tabu, nietknięte niczem, nawet własnym bólem. Taką świętością będzie morze, byleby kochać je bezinteresowną miłością, nic od niego nie wymagać.

„Księga udręki“ 8.

Ono też nieby cierpieniu nie pomogło. Tyle, że łkanie zagłuszy...

Nie w lesie. Las od wieków jest schroniskiem złych duchów i za każdym drzewem wróg się jakiś czai. Las zresztą jest zbyt żywy, zbyt gadatliwy, zbyt wścibski i przemocą narzucający swe nastroje. Nie w górach, bo góry są złe, zimne, ludzkiemu cierpieniu nieprzystępne.

Ale jakaś płaszczyna cicha, łagodna, melancholijna... Jakiś dom o liniach spokojnych, harmonijnych, gdzie wszystkie barwy są przyćmione, stonowane. Szaro-stalowe. Nastrój, jak w teatrze Stanisławskiego, gdy grają „Błękitnego Ptaka”. Żeby się nic oka nie czepiało, nie raziło, nie drażniło, żeby wzrok gubił się bez pamięci w miękkości linii i kolorów.

Żadne złe ani dobre echa świata tu nie docho-
dzą. Nikt o nikim nie wie i nikim się nie interesuje. Każdy ma swój numer czy znak, jest tylko członkiem bractwa cierpiących. A nad tem bractwem cierpiących, zdala, nieomal niewidzialni, czuwają ludzie subtelni, którzy o nic nie pytają, bo wszystko rozumieją, usuwają się kiedy trzeba, zjawiają kiedy trzeba. Nie biegli w mądrości, nie uczeni w psychologii, jeno serca niegdyś udreżone, które teraz już tylko innych czuć umieją udrękę. Oplatają ich bezlikiem myśli współprzeżywan-
nych, czujnych, ciepłych, a dyskretnych, ogarniają, jak płaszczem, bogactwem swej wszechobejmującej wyrozumiałości, otulają dusze spragnione spokoju, ciszą swych dusz ukojonych na zawsze.

Oni daliby starania i opiekę. Nie żeby ktoś wyzdrowiał. Tego nikt obiecać, a tembardziej gwarantować nie może. Zresztą, nikt nie podjąłby się leczenia zawodów duszy. Ale żeby dać możliwość cierpienia, jak kto chce, jak może i umie.

W tym błogosławionym domu zbolące usta nie potrzebują się stroić w obojętny uśmiech, oczy

Henryk uśmiechnął się ironicznie. Miłość. Ta po wsze czasy otaczana była szczególną opieką... Dziś drogę wskazują czerwone latarnie, dawniej wieńce z róż. Zupełnie zbytecznie. Rozkosz każdy łatwo znajdzie sam, wszędzie. Nie trzeba budować specjalnych gmachów dla jej kultu, nie trzeba ich segregować wedle kategorii wrażeń, jakie dają... Rozkosz jest tak prymitywnem i bezwzględnem uczuciem, że nie ma różnicy czy na łożu z fiołków, czy na wiązce siana... Zapomniał, jak on sam różnie i inaczej kochał — na łożu z fiołków i na wiązce siana... Pamiętał tylko miłość do Krzysi, która mu na zawsze i wszystko przysłoniła.

Ból nie wszędzie jednaki...

To są jednak dzikie pretensje do państwa i do społeczeństwa... Trudno od nich wymagać, żeby zajmowali się tymi, którzy ład ich mać. Sami winni myśleć o sobie. Jeśli ludzie cierpiący, mający jakąś namiętność, karty, narkotyki, łączą się razem, by w tajemnicy, spokojnie żyć życiem oderwanem, własnem, fikcyjnem życiem szczęścia, to dlaczego nieszczęśliwi nie mieliby stworzyć sobie, dla kultu swoich uczuć, jakiegoś asylum? Cierpiący w miłości. Bo właściwie pod słowem cierpienia, rozumiał tylko cierpienie spowodowane nieszczęśliwą miłością. Poprostu *son cas* zasłonił mu cały świat i w nim streściło się pojęcie bólu. Żądza pieniędzy, tęsknota sławy, szal zawiedzionej ambicji, nieodgadniona zagadka bytu, wszystko to wydawało mu się być zabawką w porównaniu do tego, co on przeżywał.

Ale gdzie stworzyć takie asylum? Nie nad morzem — każdy człowiek musi mieć jakieś tabu, nietknięte niczem, nawet własnym bólem. Taką świętością będzie morze, byleby kochać je bezinteresowną miłością, nic od niego nie wymagać.

Ono też niby cierpieniu nie pomogło. Tyle, że lkanie zagłuszy...

Nie w lesie. Las od wieków jest schroniskiem złych duchów i za każdym drzewem wróg się jakiś czai. Las zresztą jest zbyt żywy, zbyt gadatliwy, zbyt wścibski i przemocą narzucający swe nastroje. Nie w górach, bo góry są złe, zimne, ludzkiemu cierpieniu nieprzystępne.

Ale jakaś płaszczyzna cicha, łagodna, melancholijna... Jakiś dom o liniach spokojnych, harmonijnych, gdzie wszystkie barwy są przyćmione, stonowane. Szaro-stalowe. Nastrój, jak w teatrze Stanisławskiego, gdy grają „Błękitnego Ptaka“. Żeby się nic oka nie czepiało, nie raziło, nie drażniło, żeby wzrok gubił się bez pamięci w miękkości linii i kolorów.

Zadne złe ani dobre echa świata tu nie dochodzą. Nikt o nikim nie wie i nikim się nie interesuje. Każdy ma swój numer czy znak, jest tylko członkiem bractwa cierpiących. A nad tem bractwem cierpiących, zdala, nieomal niewidzialni, czuwają ludzie subtelni, którzy o nic nie pytają, bo wszystko rozumieją, usuwają się kiedy trzeba, zjawiają kiedy trzeba. Nie biegli w mądrości, nie uczeni w psychologii, jeno serca niegdyś udręczone, które teraz już tylko innych czuć umieją udrękać. Oplatają ich bezlikiem myśli współprzeżywanych, czujnych, ciepłych, a dyskretnych, ogarniają, jak płaszczem, bogactwem swej wszechobejmującej wyrozumiałości, otulają dusze spragnione spokoju, ciszą swych dusz ukojonych na zawsze.

Oni daliby starania i opiekę. Nie żeby ktoś wyzdrowiał. Tego nikt obiecać, a tembardziej gwarantować nie może. Zresztą, nikt nie podjąłby się leczenia zawodów duszy. Ale żeby dać możliwość cierpienia, jak kto chce, jak może i umie.

W tym błogosławionym domu zboliałe usta nie potrzebują się stroić w obojętny uśmiech, oczy

nie odsyłają łez gdzieś daleko, po za granicę ludzkich spojrzeń. Usta samoobronnie kłamiące nie opowiadają bajek. Serce może zamierać w trwodze, lub rozkołysać się, niby wielki rozbity dzwon — zwołujący na sabat rozpaczy. Można wszystko... W każdej chwili... Można kultywować swój ból — w jakiej się chce formie. A cóż jest piękniejszego nad ból? Tylko człowiek co cierpiał, jest człowiekiem dojrzałym. Cierpienie jest miarą wielkości duszy. Ból jest jedynie zapładniającym, twórczym uczuciem. Szczęście? Cóż szczęście — tworzy tylko szczęście, rzecz może najpiękniejsza w świecie. Ale po za nią nic. A cierpienie wszystko tworzy. Jakże łatwo być pięknie szczęśliwym, jakże trudno być pięknie cierpiącym! Dobrze powiedział Wilde: Cierpienie jest rozkoszą pięknych dusz, jak miłość jest rozkoszą pięknych ciał. Umieć cierpieć! Bo dziś niema kultu cierpienia — choćby takiego, jaki był w średniowieczu, jest tylko tresura cierpienia... Nagina się je, łamie, przystosowuje do okoliczności. Jakby okoliczności były czemś ważniejszym od uczuć... Lub przemocą *par force* stara się je wyleczyć — zapomnieniem. Tu byłoby inaczej. Bo musi się dopełnić miara boleści, kielich goryczy musi być wypity do dna.

Jeśli ból nie może umrzeć, to trzeba pozwolić mu rósć, rozwijać się. Niech z samego siebie czerpie soki żywotne i wyrasta w kwiat cierniowy. Silne, namiętne jednostki, gdy się je nie krępuje, nie nakłada karbów codziennej konieczności, to ten ból żywy, ogniem piekielnym piekący, mogą w rozkosz zamienić. Jak rozkoszą jest wbijanie sobie noża w serce... Jak bólem jest oddanie się miłosne, bezwzględne, bez granic. Bo rozkosz i ból — pierwszy raz uczuł to nie jako oklepany frazes, ale prawdę żywą, bliską, to dwie przeciwności, które się ze sobą spotykają.

Więc ból uchwycić za łeb i walczyć z nim —
przeciw niemu samemu. Móc sobie powiedzieć:
Duszę mą dobrowolnie brałem na tortury.

Żywe rany jątrzyłem.

Wrzący ołów do mózgu lałem.

Trulem się gorzką trucizną żalów i wspomnień,
żeby one mnie nie zatrwały.

Przeżarłem mój ból, żeby on mnie nie przeżarł.

Zgryzłem go, żeby on mnie nie zgryzł.

Poszarpałem go na strzępy i rozrzuciłem na wiatr.

Smagałem go i chłostałem biczem ironji.

W przeszłości mojej topiłem zęby, z upokorzeniem i rozkoszą, że czynić to potrafię.

Narkotyzowałem się do szaleństwa memi dawnymi łzami.

Księgę pamiętek zamknąłem na siedem pieczęci.

Spaliłem moje *dossier* miłosne i zagubiłem ślad po nim wszelki.

Miłości mojej roześmiałem się wzgardliwie w twarz...

Tak się gnębi ból wiodący do obłędu. A gdy się go zgnębi, na zgliszczach przeszłości stanie nowy człowiek. Nic po sobie dawnym i po swem dawnym świecie nie mający. Jak marzył Sawa Andrejewa: nagi człowiek, na nagiej ziemi.

A dla kogoś, kto niema duszy śmiałej, kto boi się sam siebie, kto nie potrafi prawdzie patrzeć w oczy, nie zdolny do uczuć silnych, ostrych, dla niego jest inna forma cierpienia, inne dla duszy ukojenie. On nie pogłębi swego bólu, nie rozszerzy go, nie oświetli tysiącem najjaśniejszych lamp, nie będzie wbijał sobie w piersi noże i nie będzie się z nich zwycięsko śmiał.

Nie gryząca, lecz dobrotliwą trucizną wspomnień napełni wszystkie swe żyły.

nie odsyłają łez gdzieś daleko, po za granicę ludzkich spojrzeń. Usta samoobronnie kłamiące nie opowiadają bajek. Serce może zamierać w trwodze, lub rozkołysać się, niby wielki rozbity dzwon — zwołujący na sabat rozpacz. Można wszystko... W każdej chwili... Można kultywować swój ból — w jakiej się chce formie. A cóż jest piękniejszego nad ból? Tylko człowiek co cierpiał, jest człowiekiem dojrzałym. Cierpienie jest miarą wielkości duszy. Ból jest jedynie zapładniającym, twórczym uczuciem. Szczęście? Cóż szczęście — tworzy tylko szczęście, rzecz może najpiękniejszą w świecie. Ale po za nią nic. A cierpienie wszystko tworzy. Jakże łatwo być pięknie szczęśliwym, jakże trudno być pięknie cierpiącym! Dobrze powiedział Wilde: Cierpienie jest rozkoszą pięknych dusz, jak miłość jest rozkoszą pięknych ciał. Umieć cierpieć! Bo dziś niema kultu cierpienia — choćby takiego, jaki był w średniowieczu, jest tylko tresura cierpienia... Nagina się je, łamie, przystosowuje do okoliczności. Jakby okoliczności były czemś ważniejszym od uczuć... Lub przemocą *par force* stara się je wyleczyć — zapomnieniem. Tu byłoby inaczej. Bo musi się dopełnić miara boleści, kielich goryczy musi być wypity do dna.

Jeśli ból nie może umrzeć, to trzeba pozwolić mu rósć, rozwijać się. Niech z samego siebie czerpie soki żywotne i wyrasta w kwiat cierniowy. Silne, namiętne jednostki, gdy się je nie krępuje, nie nakłada karbów codziennej konieczności, to ten ból żywy, ogniem piekielnym piekący, mogą w rozkosz zamienić. Jak rozkoszą jest wbijanie sobie noża w serce... Jak bólem jest oddanie się miłosne, bezwzględne, bez granic. Bo rozkosz i ból — pierwszy raz uczuł to nie jako oklepany frazes, ale prawdę żywą, bliską, to dwie przeciwności, które się ze sobą spotykają.

Więc ból uchwycić za łeb i walczyć z nim —
przeciwi niemu samemu. Móc sobie powiedzieć:

Duszę mą dobrowolnie brałem na tortury.

Żywe rany jątrzyłem.

Wrzący ołów do mózgu lałem.

Trulem się gorzką trucizną żalów i wspomnień,
żeby one mnie nie zatrąły.

Przeżarłem mój ból, żeby on mnie nie przeżarł.

Zgryzłem go, żeby on mnie nie zgryzł.

Poszarpałem go na strzępy i rozrzuciłem na
wiatr.

Smagałem go i chłostałem biczem ironji.

W przeszłości mojej topiłem zęby, z upokorzeniem
i rozkoszą, że czynić to potrafię.

Narkotyzowałem się do szaleństwa memi
dawnych łzami.

Księgę pamiętek zamknąłem na siedem pieczęci.

Spaliłem moje *dossier* miłosne i zagubiłem
ślad po nim wszelki.

Miłości mojej roześmiałem się wzgardliwie
w twarz...

Tak się gnębi ból wiodący do obłędu. A gdy
się go zgnębi, na zgliszczach przeszłości stanie
nowy człowiek. Nic po sobie dawnym i po swem
dawnym świecie nie mający. Jak marzył Sawa
Andrejewa: nagi człowiek, na nagiej ziemi.

A dla kogoś, kto niema duszy śmiałej, kto boi
się sam siebie, kto nie potrafi prawdzie patrzeć
w oczy, nie zdolen do uczuć silnych, ostrych, dla
niego jest inna forma cierpienia, inne dla duszy
ukojenie. On nie pogłębi swego bólu, nie rozszerzy
go, nie oświetli tysiącem najjaśniejszych lamp,
nie będzie wbijał sobie w piersi noże i nie będzie
się z nich zwycięsko śmiał.

Nie gryząca, lecz dobrotliwą trucizną wspomnień
napelni wszystkie swe żyły.

Rozpamiętywać będzie swój nigdy nie zapomniany
ból i swoje na zawsze utracone szczęście.

Kochać będzie swoje cierpienie, jako jedyną
pamiętkę, której mu nikt, nawet ten, co je zadał,
odebrać nie zdoła.

W ciemną, pustą noc iść będzie bez celu
i gwiazdom skarżyć się na swój los.

Dniami całymi patrzeć w zwierciadło przeszłości,
tak długo, tak długo, aż zaćmią się oczy,
jaskrawe barwy znikną, kąty wyrównają i wszystkie
obrazy, żywe i bolące, w jeden zamglony, blade
obraz się zleją.

Niestrudzony obserwator swej męki, jak *doctor subtilis*
roztrząsać będzie wszelkie niemożliwości
uczuciowe.

Z logiką scholastyka myśleć nie o tem, co się
stało, lecz o tem, co nigdy nie było, bo nigdy stać
się nie mogło.

W krwawe paciorki wspomnień wplecie białe
— niespełnione marzenia.

Wypadki życia swego tasować będzie jak
karty i jak z kart układać wróżby, pasjanse, sztuczki.

Stroić siebie i innych w nienoszone szaty
i zatryumfuje — król karnawałowy.

Będzie myśleć mocno, mocno, do zawrotu
głowy, o rzeczach niedostępnych: przypominać,
wyobrażać, poprawiać — życie i prawdę.

Przeboli swój ból do końca i zagubi się w tem
rozpamiętywaniu.

Ciągła kontemplacja, to ciągle rozmyślanie
doprowadzi powoli, powoli, nad granicę zapomnienia,
aż tam, gdzie nie ma już cierpień.

Uglaskany, ostry ból, ukołyszany do snu, jak
małe dziecko...

Tak, więc są dwie kategorie kultu własnej
męki. A on którąby wybrał? I jedną i drugą. Raz
jedną, raz drugą, zależnie od nastroju.

A właściwie mówiąc, to dotąd nic innego nie czynił... Choć warunki nie były wymarzone. I cóż? Obie metody zbankrutowały. — Może dlatego, że chciał je stosować tu, gdzie pełno było po niej wspomnień? W każdym razie zawiodły. I już do nich nie wróci. Nawet gdyby... Ale jeszcze nie ma domów dla cierpiętników. Kto wie, czy nie słusznie? To są chimery, to jest literatura. Ludzie powinni być zdrowi, silni, otrząsnąć się z przeżytych zawodów i iść dalej, naprzód. Choćby nie mieli dokąd i po co?... Więc i on spróbuje... Szukać czegoś, z zewnątrz jakiegoś zapomnienia, które dałyby mu rzeczy, a nawet osoby. Wyjechać? Tak, dość tego! Z pogardą odrzucał tą myśl, która go coraz częściej nawiedzała. Nie wiadomo dlaczego był tak okrutnym dla siebie. To śmieszna zarozumiałość i zupełnie zbyteczna duma... Tak właśnie, przecież powiedział sobie, że jeśli dawniej uprawiał kult miłości, to teraz powinien uprawiać kult cierpienia. Po co? Zupełnie zbytecznie. I nikomu, a przedewszystkiem jemu na nic zgoła niepotrzebne. O wiele lepiej, zamiast pozwolić rozwijać się temu cierpieniu, zagłuszyć je, zniszczyć, zabić. To jedynie mądra rzecz. I nie w ten jakiś dramatyczno-bohaterski sposób, z rozdzieraniem ran, dobrowolnem krwawieniem serca, lecz rozsądnie, powoli, jak czynią wszyscy. Powiedzieć sobie: nie będę cierpieć, bo nie chcę, nie będę się męczyć — bo mam tego dość.

Więc wyjechać. Wyjechać zagranicę. Tam... już nic nie będzie przypominać... Bo przecież nie te fantastyczne podróże... Najpierw do Warszawy, załatwić formalności paszportowe. A potem gdzie? Mniejsza o to. Można by się nawet wybrać do innej części świata. Właściwie dlaczego wciąż tłuc się po tej nieszczęśliwej Europie? Naprzykład do krajów „Żywego Boga“! Przecież tam

Rozpamiętywać będzie swój nigdy nie zapomniany ból i swoje na zawsze utracone szczęście.

Kochać będzie swoje cierpienie, jako jedyną pamiątkę, której mu nikt, nawet ten, co je zadał, odebrać nie zdoła.

W ciemną, pustą noc iść będzie bez celu i gwiazdom skarżyć się na swój los.

Dniami całemi patrzeć w zwierciadło przeszłości, tak długo, tak długo, aż zaćmia się oczy, jaskrawe barwy znikną, kąty wyrównają i wszystkie obrazy, żywe i bolące, w jeden zamglony, blade obraz się zleją.

Niestrudzony obserwator swej męki, jak *doctor subtilis* roztrząsać będzie wszelkie niemożliwości uczuciowe.

Z logiką scholastyka myśleć nie o tem, co się stało, lecz o tem, co nigdy nie było, bo nigdy stać się nie mogło.

W krwawe paciorki wspomnień wplecie białe — niespełnione marzenia.

Wypadki życia swego tasować będzie jak karty i jak z kart układać wróżby, pasjanse, sztuczki.

Stroić siebie i innych w nienoszone szaty i zatryumfuje — król karnawałowy.

Będzie myśleć mocno, mocno, do zawrotu głowy, o rzeczach niedostępnych: przypominać, wyobrażać, poprawiać — życie i prawdę.

Przeboli swój ból do końca i zagubi się w tem rozpamiętywaniu.

Ciągła kontemplacja, to ciągle rozmyślanie doprowadzi powoli, powoli, nad granicę zapomnienia, aż tam, gdzie nie ma już cierpień.

Ugłaskany, ostry ból, ukołysany do snu, jak małe dziecko...

Tak, więc są dwie kategorie kultu własnej męki. A on którąby wybrał? I jedną i drugą. Raz jedną, raz drugą, zależnie od nastroju.

A właściwie mówiąc, to dotąd nic innego nie czynił... Choć warunki nie były wymarzone. I cóż? Obie metody zbankrutowały. — Może dlatego, że chciał je stosować tu, gdzie pełno było po niej wspomnień? W każdym razie zawiodły. I już do nich nie wróci. Nawet gdyby... Ale jeszcze nie ma domów dla cierpiętników. Kto wie, czy nie słusznie — To są chimery, to jest literatura. Ludzie powinni być zdrowi, silni, otrząsnąć się z przeżytych zawodów i iść dalej, naprzód. Choćby nie mieli dokąd i po co?... Więc i on próbuje... Szukać czegoś, z zewnątrz jakiegoś zapomnienia, które dałyby mu rzeczy, a nawet osoby. Wyjechać? Tak, dość tego! Z pogardą odrzucał tą myśl, która go coraz częściej nawiedzała. Nie wiadomo dlaczego był tak okrutnym dla siebie. To śmieszna zarozumiałość i zupełnie zbyteczna duma... Tak właśnie, przecież powiedział sobie, że jeśli dawniej uprawiał kult miłości, to teraz powinien uprawiać kult cierpienia. Po co? Zupełnie zbytecznie. I nikomu, a przedewszystkiem jemu na nic zgoła niepotrzebne. O wiele lepiej, zamiast pozwolić rozwijać się temu cierpieniu, zagłuszyć je, zniszczyć, zabić. To jedynie mądra rzecz. I nie w ten jakiś dramatycznie-bohaterski sposób, z rozdzieraniem ran, dobrowolnem krwawieniem serca, lecz rozsądnie, powoli, jak czynią wszyscy. Powiedzieć sobie: nie będę cierpieć, bo nie chcę, nie będę się męczyć — bo mam tego dość.

Więc wyjechać. Wyjechać zagranicę. Tam... już nic nie będzie przypominać... Bo przecież nie te fantastyczne podróże... Najpierw do Warszawy, załatwić formalności paszportowe. A potem gdzie? Mniejsza o to. Można by się nawet wybrać do innej części świata. Właściwie dlaczego wciąż tłuc się po tej nieszczęśliwej Europie? Naprzykład do krajów „Żywego Boga“! Przecież tam

są czarodzieje, co zamawiają smutek, więcej, tam są czarodzieje, co przeszłość pokazać potrafią... Kazał poprosić rządce i gorączkowo wydał rozporządzenia: młócić pszenicę i zaraz sprzedawać. Nie słuchał opozycji, że potem będą lepsze ceny. Pieniądze przysłać...

— Dokąd?

— Do... Rzymu. *Banco di Roma*. Pamięta pan, jak dawniej. Przez któryś z naszych banków. A jutro rano jadę do Warszawy.

Rano. Właśnie rano. Wyjedzie tym samym pociągiem, co ona. Może w tym samym wagonie?

— I jeszcze co pan dziedzic każe?

— W tej chwili nie wiem, nie pamiętam. Zapiszę panu dokładnie, co trzeba będzie zrobić.

— Pan dziedzic na długo wyjeżdża?

— Tak. Pewno na długo.

Był dziwnie podniecony, pisząc instrukcje gospodarskie. Trochę mu się wydawało, że pisze swój testament. Przecież może się coś stać. Jakaś katastrofa. Pewno będzie jeździł aeroplanami, dla pośpiechu.

Zapisać Krzysi? Bo tak, wiedział, nic by nie wzięła. Nawet nie miał odwagi proponować. Mówiła kiedyś dawniej... oburzała się na jakąś znajomą, która po rozstaniu z mężem bierze od niego pieniądze. Ale gdyby zginął... Napisał słów kilka i zapieczętował starannie. Na wszelki wypadek. Kopertę schował w głębi ogniotrwałej kasy.

Nie wołał służącego, sam zabrał się do pakowania rzeczy. Lubił to dawniej. Lubił wyjeżdżać. Iść naprzeciw czemuś nowemu, niewiadomemu, nieoczekiwanemu. Powiedzieć każdej niespodziance, że może mu drogę zastąpić, powita ją ciekawie. Płynąć ciągle *vers de nouveaux rivages*. A potem zawinąć do brzegu, gdzie nie czeka nic znanego, a znaleźć się może wszystko. Jak to dawno! Jak teraz smutno wyjeżdżać — nawet

stać, — gdzie mu tak źle było, tak źle, jak tylko może być źle — ze sobą samym, nieszczęśliwym. Ale kiedyś, było mu tu z nią tak dobrze, jak może być dobrze tylko ze sobą samym — szczęśliwym. I gdzież to wszystko jeszcze jest, schowało się, czai się w jakimś kącie. — Jest tu — a tam nic nie będzie, więc właśnie, dobrze. Nie ma być nic.

Przez całą drogę do Warszawy zdawało mu się, że się czuje bardzo spokojny. Zaraz po przyjeździe posłał po bilet do teatru. Do opery. Tam, gdzie ją zobaczył po raz pierwszy. Szkoda, że nie dają Butterfly, jak wtedy... W każdym razie będzie to rodzaj tresury cierpienia — dość już tego kultu cierpienia, — a zarazem początek kuracji. Najlepiej lekceważyć chorobę, może okaże się, że nie jest niebezpieczną?

Ona nie chciała chodzić w te miejsca, które były mu niegdyś drogie, bała się, że niemi być przestaną. I słusznie. Jużby tam siebie dawnych nie znaleźli. Ale dla niego, to właśnie dobrze.

Tylko, żeby jej nie zobaczyć, nie spotkać! Spotkaniem rządzi taka dziwna tajemnicza, nie logiczna logika... Spotkaniem rządzi przypadek, największy czarodziej życia.

Może właśnie?... Gdyby ją zobaczył wesołą, otoczoną gronem mężczyzn, kokietującą tym ślicznym ruchem głowy, minkami, spojrzeniem? Gorzej, gdyby samą, smutną... Bo do smutnej miałby odwagę zbliżyć się. Nie, nie, nie chce jej widzieć... Już obawa widzenia jej wywołuje mocniejsze bicie serca...

Przyszedł wcześniej. Usiadł w pierwszym rzędzie. W rogu. Mógł nie być widzianym, ale mógł wszystko widzieć. Wolno płynęła fala ludzi. Bał się każdej kobiety, która szła. Zdawało mu się, że ta może nią być i ta... Żadna. Uczucie ulgi. Światła gasną, muzyka gra uverture.

są czarodzieje, co zamawiają smutek, więcej, tam są czarodzieje, co przeszłość pokazać potrafią...

Kazał poprosić rządcę i gorączkowo wydał rozporządzenia: młócić pszenicę i zaraz sprzedawać. Nie słuchał opozycji, że potem będą lepsze ceny. Pieniądże przysłać...

— Dokąd?

— Do... Rzymu. *Banco di Roma*. Pamięta pan, jak dawniej. Przez któryś z naszych banków. A jutro rano jadę do Warszawy.

Rano. Właśnie rano. Wyjedzie tym samym pociągiem, co ona. Może w tym samym wagonie?

— I jeszcze co pan dziedzic każe?

— W tej chwili nie wiem, nie pamiętam. Zapiszę panu dokładnie, co trzeba będzie zrobić.

— Pan dziedzic na długo wyjeżdża?

— Tak. Pewno na długo.

Był dziwnie podniecony, pisząc instrukcje gospodarskie. Trochę mu się wydawało, że pisze swój testament. Przecież może się coś stać. Jakaś katastrofa. Pewno będzie jeździł aeroplanami, dla pośpiechu.

Zapisać Krzysi? Bo tak, wiedział, nie by nie wzięła. Nawet nie miał odwagi proponować. Mówiła kiedyś dawniej... oburzała się na jakąś znajomą, która po rozstaniu z mężem bierze od niego pieniądze. Ale gdyby zginął... Napisał słów kilka i zapieczętował starannie. Na wszelki wypadek. Kopertę schował w głębi ogniotrwałej kasy.

Nie wołał służącego, sam zabrał się do pakowania rzeczy. Lubił to dawniej. Lubił wyjeżdżać. Iść naprzeciw czemuś nowemu, niewiadomemu, nieoczekiwanemu. Powiedzieć każdej niespodziance, że może mu drogę zastąpić, powita ją ciekawie. Płynąć ciągle *vers de nouveaux rivages*. A potem zawinąć do brzegu, gdzie nie czeka nie znanego, a znaleźć się może wszystko. Jak to dawno! Jak teraz smutno wyjeżdżać — nawet

stad, — gdzie mu tak źle było, tak źle, jak tylko może być źle — ze sobą samym, nieszczęśliwym. Ale kiedyś, było mu tu z nią tak dobrze, jak może być dobrze tylko ze sobą samym — szczęśliwym. I gdzież to wszystko jeszcze jest, schowało się, czai się w jakimś kącie. — Jest tu — a tam nic nie będzie, więc właśnie, dobrze. Nie ma być nic.

Przez całą drogę do Warszawy zdawało mu się, że się czuje bardzo spokojny. Zaraz po przyjeździe posłał po bilet do teatru. Do opery. Tam, gdzie ją zobaczył po raz pierwszy. Szkoda, że nie dają Butterfly, jak wtedy... W każdym razie będzie to rodzaj tresury cierpienia — dość już tego kultu cierpienia, — a zarazem początek kuracji. Najlepiej lekceważyć chorobę, może okaże się, że nie jest niebezpieczną?

Ona nie chciała chodzić w te miejsca, które były mu niegdyś drogie, bała się, że niemi być przestaną. I słusznie. Jużby tam siebie dawnych nie znaleźli. Ale dla niego, to właśnie dobrze.

Tylko, żeby jej nie zobaczyć, nie spotkać! Spotkaniem rządzi taka dziwna tajemnicza, nie logiczna logika... Spotkaniem rządzi przypadek, największy czarodziej życia.

Może właśnie?... Gdyby ją zobaczył wesolą, otoczoną gronem mężczyzn, kokietującą tym ślicznym ruchem głowy, minkami, spojrzeniem? Gorzej, gdyby samą, smutną... Bo do smutnej miałby odwagę zbliżyć się. Nie, nie, nie chce jej widzieć... Już obawa widzenia jej wywołuje mocniejsze bicie serca...

Przyszedł wcześniej. Usiadł w pierwszym rzędzie. W rogu. Mógł nie być widzianym, ale mógł wszystko widzieć. Wolno płynęła fala ludzi. Bał się każdej kobiety, która szła. Zdawało mu się, że ta może nią być i ta... Żadna. Uczucie ulgi. Światła gasną, muzyka gra uverturę.

Po pierwszym akcie wyszedł. Bo nagle zrozumiał, że nic innego nie chciał, jak tylko, żeby ją, choć zdaleka, choć na chwilę zobaczyć.

Rano, zamiast iść, jak miał zamiar, załatwić sprawy paszportowe, zaczął się włóczyć po mieście. Opadły go nowe, nieznanne dotąd, wspomnienia, z którymi nie spotykał się w Sławoszewie. Śpiące, drzemiące, a może dotąd nieżywe. Przez szybę zwyczajnego na pozór sklepu wołała jaskrawością pyjam, które mu kiedyś kupowała, drwiły z niego w szeleście jedwabiów i koronek, do których często wzdychała, — wypadły nawet, śmieszne, całą chmarą, ze składu Żelechowa, gdzie robiło się zakupy na drogę.

Uciekł do Łazienek. Było pusto. Na jednej ławce ktoś czytał, na innej, ktoś na kogoś niecierpliwie czekał. Ale i Łazienki pełne wspomnień... Przyszli tu na wiosnę, gdy kwitła cudna magnolia. Jak się nią Krzysia zachwycała! Deklamowała jakiś wiersz Wierzyńskiego o tym kwiecie; nie pamięta jaki, tylko pamięta jej podniesioną główkę, bławatne oczy, jej twarzączkę pełną dziecinnej radości, że coś tak pięknego może istnieć na świecie. A magnolia, niby rokokowa dama w zielonym *panier*, w różowe kwiaty, powoli, rytmicznie kołysała się w wiosennym powietrzu.

Przyjechał powozem... A jak się z tego powozu cieszyła! W domu, wkładając przed lustrem piękny kapelusik, śpiewała, naśladując „sławna” aktorkę z „Czarnego Kota”: „Pojadę ja w Aleje”...

Przy tej magnolji prosił, żeby przyszła tu z nim kiedyś wieczorem. Przyszła. Była drżąca i niepewna, jakby czuła, że się już *to* stanie. Zaprowadził ją na bardzo odludną ławeczkę. Przytulił do siebie lekko, leciuchmo.

Zajęty wspomnieniami zaszedł gdzieś daleko. Oglądnał się. Właśnie tu! Przecież na tej ła-

weczce... Ach, tyle razy!... Ale nie, nie pamiętał, tylko jak ją tulił... Jak nieśmiała, rozpaloną dłońmi dotykał jej zimnych piersi... Przymknęła oczy cicha, wyczekująca. Miał tyle siły woli, że wstał i popatrzył na zegarek. Odwioził ją do domu. Na drugi dzień była jego narzeczoną. W miesiąc potem jego żoną... Jego najgorętszą kochanką, jego najmiłszym towarzyszem...

A teraz? Teraz nic. Nie ma nic i już nic nie będzie. Podniósł się ciężko. Zdawało mu się, że był tu długo, tak długo. Przez ten czas tyle przeżył, zrozumiał. A raczej jedno, najważniejsze, że nie ma dla niego zapomnienia.

Przypomniawszy sobie niegdyś czytana bajkę. Jakiś dygnitarz perski przyjechał do Rzymu. Był zachwycony miastem kwitnącem pod władzą cesarzy. „Zostań tu”, — prosił go przyjaciel. „Dlaczego tu, a nie gdzieindziej? Wśród waszych wspaniałych ogrodów, pod marmurami portyków, w przepychu waszych świątyń, widzę śmierć, jak ją widziałem wszędzie, gdzie noga moja stanęła. Nie uwolnię się od niej nigdy. Więc wracam do mej ojczyzny, by tam na nią czekać”. Tak samo jest z nim. Równie dobrze nie zapomni o Krzysiu w Sławoszewie, jak na drugim końcu świata. Więc po co jechać, aż tak daleko?

Późno w nocy, bardzo zmęczony, wrócił do domu. Położył się i zasnął kamiennym snem.

XXVIII.

Od kilku dni spokój zuchwały, nieomal wyzywający los do walki. Mógł się zatrzymać u progu świadomości, nie iść dalej. Więcej — mógł myśli swoje wziąć na smyczę, kazać im pokornie leżeć na uwięzi, mógł udawać, że nic nie pamięta, że wielu rzeczami nie interesuje się wcale, że nic so-

Po pierwszym akcie wyszedł. Bo nagle zrozumiał, że nic innego nie chciał, jak tylko, żeby ją, choć zdaleka, choć na chwilę zobaczyć.

Rano, zamiast iść, jak miał zamiar, załatwił sprawy paszportowe, zaczął się włóczyć po mieście. Opadły go nowe, nieznanne dotąd, wspomnienia, z którymi nie spotykał się w Sławoszewie. Śpiące, drzemające, a może dotąd nieżywe. Przez szybę zwyczajnego na pozór sklepu wołały jaskrawością pyjam, które mu kiedyś kupowała, drwiły z niego w szeleście jedwabów i koronek, do których często wdychała, — wypadły nawet, śmieszne, całą chmarą, ze składu Żelechowa; gdzie robiło się zakupy na drogę.

Uciekł do Łazienek. Było pusto. Na jednej ławce ktoś czytał, na innej, ktoś na kogoś niecierpliwie czekał. Ale i Łazienki pełne wspomnień... Przyszli tu na wiosnę, gdy kwitła cudna magnolija. Jak się nią Krzysia zachwycała! Deklamowała jakiś wiersz Wierzyńskiego o tym kwiecie; nie pamięta jaki, tylko pamięta jej podniesioną główkę, bławatne oczy, jej twarzyczkę pełną dziecięcej radości, że coś tak pięknego może istnieć na świecie. A magnolija, niby rokokowa dama w zielonym *panier*, w różowe kwiaty, powoli, rytmicznie kołysała się w wiosennym powietrzu.

Przyjechał powozem... A jak się z tego powozu cieszyła! W domu, wkładając przed lustrem piękny kapelusik, śpiewała, naśladując „sławną” aktorkę z „Czarnego Kota”: „Pojadę ja w Aleje”...

Przy tej magnoliji prosił, żeby przyszła tu z nim kiedyś wieczorem. Przyszła. Była drżąca i niepewna, jakby czuła, że się już *to* stanie. Zaprowadził ją na bardzo odległą ławeczkę. Przytulił do siebie lekko, leciuchno.

Zajęty wspomnieniami zaszedł gdzieś daleko. Ogladnął się. Właśnie tu! Przecież na tej ła-

weczce... Ach, tyle razy!... Ale nie, nie pamiętał, tylko jak ją tulil... Jak nieśmiała, rozpaloną dłonią dotykał jej zimnych piersi... Przymknęła oczy cicha, wyczekująca. Miał tyle siły woli, że wstał i popatrzył na zegarek. Odwiozł ją do domu. Na drugi dzień była jego narzeczona. W miesiąc potem jego żona... Jego najgorętszą kochanką, jego najmilszym towarzyszem...

A teraz? Teraz nic. Nie ma nic i już nic nie będzie. Podniósł się ciężko. Zdawało mu się, że był tu długo, tak długo. Przez ten czas tyle przeżył, zrozumiał. A raczej jedno, najważniejsze, że nie ma dla niego zapomnienia.

Przypomniał sobie niegdyś czytana bajkę. Jakiś dygnitarz perski przyjechał do Rzymu. Był zachwycony miastem kwitnącym pod władzą cesarów. „Zostań tu“, — prosił go przyjaciel. „Dlaczego tu, a nie gdzieindziej? Wśród waszych wspaniałych ogrodów, pod marmurami portyków, w przepychu waszych świątyń, widzę śmierć, jak ją widziałem wszędzie, gdzie noga moja stanęła. Nie uwolnię się od niej nigdy. Więc wracam do mej ojczyzny, by tam na nią czekać“. Tak samo jest z nim. Równie dobrze nie zapomni o Krzysi w Sławczewie, jak na drugim końcu świata. Więc po co jechać, aż tak daleko?

Późno w nocy, bardzo zmęczony, wrócił do domu. Położył się i zasnął kamiennym snem.

XXVIII.

Od kilku dni spokój zuchwały, nieomal wyzywający los do walki. Mógł się zatrzymać u progu świadomości, nie iść dalej. Więcej — mógł myśli swoje wziąć na smyczę, kazać im pokornie leżeć na więzi, mógł udawać, że nic nie pamięta, że wielu rzeczami nie interesuje się wcale, że nic so-

bie z niczego nie robi. Zdawało mu się, że duszę jego pokryła pleśń. Brzydka, zielona. Ale pod nią tak się spokojnie śpi.

Dlaczego jeden dzień jest taki, a drugi inny? Choć się nic nie zmieniło. Czemu dziś obojętne sprawy, wczoraj do rozpaczy doprowadzające? Raz można nie myśleć o tem, o czem kiedyindziej musi się myśleć bez przerwy. Gdzie w tem wszystkim — mądrość ludzka? Czy ona kieruje uczuciem, czy uczucia kierują nią? A ono od czego zależne?

Człowiek jest jak fala i nigdy nie można przewidzieć, gdzie się rozbije. Tak samo nie wiadomo jaką jeździec weźmie przeszkodę, a o jakie źdźbło trawy się potknie, o jakie ziarnko piasku głowę sobie rozstrzaska.

W taki dzień nagłego, niespodzianego spokoju przyszedł list od Krzysi. Długa, wązka koperta, złotym lakiem zapieczętowana, ubrana ładnymi, zgrabnymi literkami.

Uciekł do gabinetu. Zamknął drzwi. Oglądał się wkoło, czy niema nikogo. Schował się w najciemniejszy kąt. Czytał:

Warszawa, 28 września.

„Czy ja temu jestem winna? Czasem myślę, że źle zrobiłam... Ale kiedyś wrócę do Ciebie?... Pozwolisz? Chcesz tego, prawda? Ty mnie rozumiesz.

Krzysia.

Bardzo starannie włożył list do koperty. Schował go do biurka. Wziął kapelusz i wyszedł z domu. Szedł długo, bardzo szybko, najpierw przez park, potem przez las, pole i znów las.

Ogromnie jasne, niby roztopione srebro, ale ogromnie blade słońce wywołało z wrzosów mo-

oną, nieomal gorącą barwę. A dalej, paprocie, jedna brunatna, inne zupełnie jeszcze świeże, zielone. Niby jakieś egzotyczne, karłowate drzewka. Sosny wkrąg na straży. Na nich rozpięty intensywny jesienny błękit.

Usiadł, oparł głowę o rdzawy pień. Patrzył dalej z ciekawem zdziwieniem. Jakby nigdy tu nie był. Może się zdarzyć, że ktoś nie zna jakiegoś zakątka swego lasu. Uśmiechnął się. Szczególniej ktoś, kto do swego majątku lata całe nie przyjeżdżał. Aż burza wojenna kazała mu siedzieć na miejscu. Ale Krzysia pewnie tu była, ona latała wszędzie, po wszystkich drogach i ścieżkach. A czasem zapuszczała się w taką gęstwinę, że ledwie mogła znaleźć drogę do domu. Była zawsze z tego bardzo dumna.

Przypomniał sobie jej list. Ale teraz już nie znajdzie powrotu do domu... On nie chce. Kiedyś? Dla niego nie ma już kiedyś. Mogłoby być jeszcze dziś, ale niema już jutra. Wyciągnął się wygodnie, z lenistwem człowieka bardzo zmęczonego.

Patrzył dalej. Ten śliczny dzień jesienny miał w sobie coś z rozpaczny miłości, która przysła zapóźno. Bo jak go zatrzymać? O co się chwycić? O te koronki pajęczyny, co się srebrzą wśród drzew?

Czasem szczęście może być najwyższą męką. Jak było dla niego ich szczęście...

Tak, starość, dopiero teraz dotknął go ciężar lat. Nawet nie widział się w lustrze, ale czuł, że oczy patrzą już tylko smutno, że cała twarz inna. Ta rysa koło ust... Znał kiedyś taką fałdę koło ust i nazwał ją fałdą zawodu. Teraz sam ją miał. Ciężyla mu, jako coś obcego, do czego się jeszcze nie przyzwyczaił. Ale przyzwyczai. Tembardziej, że za nią przyjdzie druga, trzecia, że twarz cała przestanie być jego twarzą, a stanie się maską męki. Już i teraz pewno bardzo się zmienił. Ale

bie z niczego nie robi. Zdawało mu się, że duszę jego pokryła pleśń. Brzydka, zielona. Ale pod nią tak się spokojnie śpi.

Dlaczego jeden dzień jest taki, a drugi inny? Choć się nic nie zmieniło. Czemu dziś obojętne sprawy, wczoraj do rozpacz doprowadzające? Raz można nie myśleć o tem, o czem kiedyindziej musi się myśleć bez przerwy. Gdzie w tem wszystkim — mądrość ludzka? Czy ona kieruje uczuciem, czy uczucia kierują nią? A ono od czego zależne?

Człowiek jest jak fala i nigdy nie można przewidzieć, gdzie się rozbije. Tak samo nie wiadomo jaką jeździec weźmie przeszkodę, a o jakie źdźbło trawy się potknie, o jakie ziarnko piasku głowę sobie rozstrzaska.

W taki dzień nagłego, niespodzianego spokoju przyszedł list od Krzysi. Długa, wązka koperta, złotym lakiem zabezpieczowana, ubrana ładnymi, zgrabnymi literkami.

Uciekł do gabinetu. Zamknął drzwi. Oglądał się wkoło, czy niema nikogo. Schował się w najciemniejszy kąt. Czytał:

Warszawa, 28 września.

„Czy ja temu jestem winna? Czasem myślę, że źle zrobiłam... Ale kiedyś wrócę do Ciebie?... Pozwolisz? Chcesz tego, prawda? Ty mnie rozumiesz.

Krzysia.

Bardzo starannie włożył list do koperty. Schował go do biurka. Wziął kapelusz i wyszedł z domu. Szedł długo, bardzo szybko, najpierw przez park, potem przez las, pole i znów las.

Ogromnie jasne, niby roztopione srebro, ale ogromnie blade słońce wywołało z wrzosów mo-

cną, nieomal gorącą barwę. A dalej, paprocie, jedna brunatna, inne zupełnie jeszcze świeże, zielone. Niby jakieś egzotyczne, karłowate drzewka. Sosny wkrąg na straży. Na nich rozpięty intensywny jesienny błękit.

Usiadł, oparł głowę o rdzawy pień. Patrzył dalej z ciekawem zdziwieniem. Jakby nigdy tu nie był. Może się zdarzyć, że ktoś nie zna jakiegoś zakątka swego lasu. Uśmiechnął się. Szczególniej ktoś, kto do swego majątku lata całe nie przyjeżdżał. Aż burza wojenna kazała mu siedzieć na miejscu. Ale Krzysia pewnie tu była, ona latała wszędzie, po wszystkich drogach i ścieżkach. A czasem zapuszczała się w taką gęstwinę, że ledwie mogła znaleźć drogę do domu. Była zawsze z tego bardzo dumna.

Przypomniał sobie jej list. Ale teraz już nie znajdzie powrotu do domu... On nie chce. Kiedyś? Dla niego nie ma już kiedyś. Mogłoby być jeszcze dziś, ale niema już jutra. Wyciągnął się wygodnie, z lenistwem człowieka bardzo zmęczonego.

Patrzył dalej. Ten śliczny dzień jesienny miał w sobie coś z rozpachy miłości, która przyszła zapóźno. Bo jak go zatrzymać? O co się chwycić? O te koronki pajęczyny, co się srebrzą wśród drzew?

Czasem szczęście może być najwyższą męką. Jak było dla niego ich szczęście...

Tak, starość, dopiero teraz dotknął go ciężar lat. Nawet nie widział się w lustrze, ale czuł, że oczy patrzą już tylko smutno, że cała twarz inna. Ta rysa koło ust... Znał kiedyś taką fałdę koło ust i nazwał ją fałdą zawodu. Teraz sam ją miał. Ciężała mu, jako coś obcego, do czego się jeszcze nie przyzwyczaił. Ale przyzwyczai. Tembardziej, że za nią przyjdzie druga, trzecia, że twarz cała przestanie być jego twarzą, a stanie się maską męki. Już i teraz pewno bardzo się zmienił. Ale

przedewszystkiem dusza... A jeszcze niedawno zdawało mu się, że młodość jest tak blisko przy nim, tylko cofnąć się i oglądać, a zobaczy ją — odchodzącą. A teraz to już by jej nie zobaczył — nawet odchodzącej.

Myślał o tem, co to jest właściwie starość duszy? To już nawet nie to, że się wiele pamięta, ale że się wiele zapomniało. Osoby, rzeczy, fakty, myśli, uczucia...

Wracał do domu. Patrzył jak leciały liście. Jakiś jeden złotopurpurowy strzępek, zawahał się, zatrzymał w powietrzu, na chwilę podniósł się znów w górę, jakby chciał wrócić do swego drzewa, a potem szybko zleciał do nóg Henryka.

Gdzieś, na drodze, leżało gronko jarzębiny, spadło przed chwilą z drzewa na bezduszną, jesienną ziemię. Wyglądało, jak purpurowe usta na zamarłej twarzy.

Nagle z tej bezdusznej napozór ziemi buchnęło ku niemu ciepło, życie, jakiś zapach nagle wiosenny, odurzający szaloną tęsknotą rzeczy bezpowrotnych...

XXIX.

Była noc jesienna, koszmarna noc, z tych nocy, co samotnie i bezsennie przeżyte, mają wagę całych lat. Szalał i wył wiatr, nie, cały ogród był wyciem, jakiego nie znaleźć w ludzkiej mowie — chyba w ludzkim bólu. Deszcz i wiatr i ciemna noc chciały się przemocą wdrzeć do jedyne go pokoju, w którym paliło się światło.

Wiatr jest najbardziej uparty. Atakuje ściany, bije w okna, nawet dostał się do kominka. Uderza o drzwiczki pieca, niby dziki zwierz na uwięzi, który lada chwila wydobędzie się na wolność i wtedy sobie pohula.

Henryk nigdy jeszcze nie doznał uczucia takiej pustki koło siebie, bezbrzeżnej i beznadziejnej

samotności. Małe cierpienie wybucha jaskrawo, ostro, wielkie cierpienie rośnie z czasem — poprostu na razie nie jest się w stanie objąć jego ogromu. Był jak rozbitek, na jakiejś pustej, bezludnej wyspie — wszystkie kable zniszczone, wszystkie druty telegraficzne zerwane, radio nie funkcjonuje. Wiedział, nawet nie może się ludzić, żeby myśli Krzysi, w taką noc przyleciała do niego. Jakże może, kiedy ona takich nocy bardzo się bała. Tulila się do niego i prosiła: „Nie daj mnie!” Nie oddałby... Tylko, że ona sama... A teraz śpi gdzieś spokojnie, zatulona w kołdrę, jeszcze ręką zakrywa uszko.

Podszedł do biurka. Wyjął z szuflady szare pudełko papieru listowego. Kupiła mu je w Warszawie, żeby miał ładny papier. Zaczął pisać. Po wielu miesiącach fikcyjnych listów pierwszy realny list.

W ostatnich dniach żył jak w gorączce. Zadawał sobie tysiące pytań, na które nie znajdował uspakajających odpowiedzi. Mógł rozdwoić się, by pytać, ale przecież osoba odpowiadająca nie wiedziała nie więcej — od pytającej.

Jak można tak pokochać drugiego człowieka, żeby po za nim świat nie istniał? Widocznie można, skoro tak kochał, bo miał jej pełną duszę, bo tkwiła w nim głęboko, na nic miejsca nie zostawiając.

Dlaczego nie można zapomnieć? Bo nie zapomina się — o cząstce swej duszy.

Czem ukoić ból na zawsze utraconej nadziei? Chyba niczem.

Nosił w sobie brzemień nie wysłanych listów. Pisał je w myśli. Żywe listy idą w świat i zabierają ze sobą mękę, te były ciągle tu, gdzieś blisko. Niby ich nie ma — a są. Ilość ich rosła. Złe odkładał do archiwum, a pisał nowe. A potem i te okazywały się — złe. Z niepokojem, obawą, jak

przedewszystkiem dusza... A jeszcze niedawno zdawało mu się, że młodość jest tak blisko przy nim, tylko cofnąć się i oglądać, a zobaczy ją — odchodzącą. A teraz to już by jej nie zobaczył — nawet odchodzącej.

Myślał o tem, co to jest właściwie starość duszy? To już nawet nie to, że się wiele pamięta, ale że się wiele zapomniało. Osoby, rzeczy, fakty, myśli, uczucia...

Wracał do domu. Patrzył jak leciały liście. Jakiś jeden złotopurpurowy strzępek, zawahał się, zatrzymał w powietrzu, na chwilę podniósł się znów w górę, jakby chciał wrócić do swego drzewa, a potem szybko zleciał do nóg Henryka.

Gdzieś, na drodze, leżało gronko jarzębiny, spadło przed chwilą z drzewa na bezduszną, jesienną ziemię. Wyglądało, jak purpurowe usta na zamarłej twarzy.

Nagle z tej bezdusznej napozór ziemi buchnęło ku niemu ciepło, życie, jakiś zapach nagle wiosenny, odurzający szaloną tęsknotą rzeczy bezpowrotnych...

XXIX.

Była noc jesienna, koszmarna noc, z tych nocy, co samotnie i bezsennie przeżyte, mają wagę całych lat. Szalał i wyl wiatr, nie, cały ogród wyl wyciem, jakiego nie znaleźć w ludzkiej mowie — chyba w ludzkim bólu. Deszcz i wiatr i ciemna noc chciały się przemocą wedrzeć do jedyne go pokoju, w którym paliło się światło.

Wiatr jest najbardziej uparty. Atakuje ściany, bije w okna, nawet dostał się do kominka. Uderza o drzwiczki pieca, niby dziki zwierz na uwięzi, który lada chwila wydobędzie się na wolność i wtędy sobie połuła.

Henryk nigdy jeszcze nie doznał uczucia takiej pustki koło siebie, bezbrzeżnej i beznadziejnej

samotności. Małe cierpienie wybucha jaskrawo, ostro, wielkie cierpienie rośnie z czasem — poprostu na razie nie jest się w stanie objąć jego ogromu. Był jak rozbitek, na jakiejś pustej, bezludnej wyspie — wszystkie kable zniszczone, wszystkie druty telegraficzne zerwane, radio nie funkcjonuje. Wiedział, nawet nie może się ludzić, żeby myśleć. Krzysi, w taką noc przyleciała do niego. Jakże może, kiedy ona takich nocy bardzo się bała. Tulila się do niego i prosiła: „Nie daj mnie!“ Nie oddałby... Tylko, że ona sama... A teraz śpi gdzieś spokojnie, zatulona w kołdrę, jeszcze ręką zakrywa uszko.

Podszedł do biurka. Wyjął z szuflady szare pudełko papieru listowego. Kupiła mu je w Warszawie, żeby miał ładny papier. Zaczął pisać. Po wielu miesiącach fikcyjnych listów pierwszy realny list.

W ostatnich dniach żył jak w gorączce. Zadawał sobie tysiące pytań, na które nie znajdował uspakajających odpowiedzi. Mógł rozdziwić się, by pytać, ale przecież osoba odpowiadająca nie wiedziała nie więcej — od pytającej.

Jak można tak pokochać drugiego człowieka, żeby po za nim świat nie istniał? Widocznie można, skoro tak kochał, bo miał jej pełną duszę, bo tkwiła w nim głęboko, na nic miejsca nie zostawiając.

Dlaczego nie można zapomnieć? Bo nie zapomina się — o cząstce swej duszy.

Czem ukoić ból na zawsze utraconej nadziei? Chyba niczem.

Nosił w sobie brzemię nie wysłanych listów. Pisał je w myśli. Żywe listy idą w świat i zabierają ze sobą mękę, te były ciągle tu, gdzieś blisko. Niby ich nie ma — a są. Ilość ich rosła. Złe odkładał do archiwum, a pisał nowe. A potem i te okazywały się — złe. Z niepokojem, obawą, jak

gdyby już istniały i mogły spełnić swą rolę, wymazywał je z pamięci. Tworzył inne, ostrożnie, powoli, ważył i mierzył każdą myśl, żeby była dobra i wymowna. Mozolnie przerabiał każde zdanie, wykreślał z mózgu jedno słowo, a na miejscu jego kładł inne. Żeby jeszcze delikatniej i subtelniej powiedzieć.

Czasem bywał bardzo rozsądny i tak rozumował: właściwie to list przychodzi zawsze z daleka i nigdy nie wie, co zastanie tam, gdzie ma przynieść jakąś wiadomość. Jest jak gość, który zjawia się do cudzego domu nie znając panującego w nim nastroju. Robi przyjemną minę, gdy gospodarz jest w żalobie, nosi koturny i postukuje nimi, gdy trzeba wślizgnąć się zalotnie, wesoło, cichutko, tak, żeby nawet klucz, obrońca moralności, nie widział.

List powinien wpaść do ręki, kiedy ręka się do niego przyjaźnie wyciąga, nie gdy bezmyślny listonosz wrzuci go do puszk. List, kawałek duszy, oddać się powinien drugiej, tej co na niego czeka.

Zresztą i litery od chwili napisania bardzo się zmieniają. List przychodzi zmęczony po przebyciu długiej drogi, patynuje się w tunelach, mrozi w górach, wiatr wywieje z niego wszelką świeżość, słońce — położy plamy i cienie — gdzie nie trzeba.

Więc po co pisać? po co pisać? Gdy dwoje ludzi przestało się rozumieć, list jest tylko po to — żeby jeszcze mniej się rozumieli. Jest parawanikiem, za którym ukrywa się myśli, uczucia, a nawet całe życie. Ale mówić do niej musiał. Ciągle. Manjacko. A na dnie tego wszystkiego leżał ból warjacki, idjotyczny, niesamowity. I jakiś dziwnie bezinteresowny w swej beznadziejności i niezaradności. Wiedział, że nic i u nikogo nie wybląga, że cierpienie jego może przejść granice ludzkiego cierpienia, a i tak nic się nie zmieni.

Ale dziś zmęczył go ból. Nagle zdawało mu się, że zabrał wszystkie jego siły, że już nawet cierpieć nie może. Że potrafi ze spokojnym uśmiechem i wiarą w swe słowa napisać prawdziwy list. Pisał:

„Nie chcę Cię widzieć, teraz, ani nigdy... Jestem odważny i mogę to sobie powiedzieć. My już nie jesteśmy dla siebie. Ty pierwsza to zrozumiałaś. Nie, ja pierwszy. Dawno już. Ale Ty...

Może to i lepiej?... Nieraz myślałem... Ale rozumiesz, trudno mi było zdecydować się. Każda chwila miała dla mnie tyle wagi, że wołałem ją kraść. Tobie łatwiej było... Cóż prostszego, jak odejść od kogoś, kto cięży i hamuje, a iść swobodzie i radości naprzeciw?

Mogliśmy długo jeszcze żyć razem — na powierzchni naszych uczuć. Tybyś ukrywała swe młode pragnienia, a ja bym dalej starał się łudzić Ciebie, że daję wszystko co jest życiem i szczęściem. Nie odsłanialiśmy naszych serc, ukrywali w głębi najtajniejszych myśli... Tak przecież było kilka miesięcy!... Ty miałaś dość przywiązania, dość uczucia, czy współczucia, a ja — dość egoizmu i pokory, że zamknąłem oczy na to mało coś mi dawała. Nie pozwoliłem sobie pamiętać, żeś mi kiedyś tyle dawała, wszystko, całą siebie. Tak może czynić człowiek, który już nic się od życia nie spodziewa. Ale ty się od życia spodziewałaś, więc...

Dziękuję Ci za to, żeś była wierna samej sobie. I za to żeś tak wcześniej odeszła. To jedno więcej szczęście, jakie mi dałaś. Choć i tak mi wstyd... Najgorszy wstyd — wobec samego siebie. Przypomina mi się góralka z „Sezonowej Miłości“. Tak się z niej kiedyś śmiałaś! Później byłoby jeszcze gorzej. Czułbym nietylko wstyd, ale i żal do Ciebie. Nie stanęły między nami góry kłamstwa, nie oddzieliły rzeki przebiegłości, nie

gdyby już istniały i mogły spełnić swą rolę, wymazywał je z pamięci. Tworzył inne, ostrożnie, powoli, ważył i mierzył każdą myśl, żeby była dobra i wymowna. Mozolnie przerabiał każde zdanie, wykreślał z mózgu jedno słowo, a na miejscu jego kładł inne. Żeby jeszcze delikatniej i subtelniej powiedzieć.

Czasem bywał bardzo rozsądny i tak rozmawiał: właściwie to list przychodzi zawsze z daleka i nigdy nie wie, co zastanie tam, gdzie ma przynieść jakąś wiadomość. Jest jak gość, który zjawia się do cudzego domu nie znając panującego w nim nastroju. Robi przyjemną minę, gdy gospodarz jest w żałobie, nosi koturny i postukuje nimi, gdy trzeba wślizgnąć się zalotnie, wesoło, cichutko, tak, żeby nawet klucz, obrońca moralności, nie widział.

List powinien wpaść do ręki, kiedy ręka się do niego przyjaźnie wyciąga, nie gdy bezmyślny listonosz wrzuci go do puszk. List, kawałek duszy, oddać się powinien drugiej, tej co na niego czeka.

Zresztą i litery od chwili napisania bardzo się zmieniają. List przychodzi zmęczony po przebyciu długiej drogi, patynuje się w tunelach, mrozi w górach, wiatr wywieje z niego wszelką świeżość, słońce — położy plamy i cienie — gdzie nie trzeba.

Więc po co pisać? po co pisać? Gdy dwoje ludzi przestało się rozumieć, list jest tylko koło po to — żeby jeszcze mniej się rozumieli. Jest parawanikiem, za którym ukrywa się myśli, uczucia, a nawet całe życie. Ale mówić do niej musiał. Ciągłe. Manjacko. A na dzień tego wszystkiego leżał ból warjacki, idjotyczny, niesamowity. I jakiś dziwnie bezinteresowny w swej beznadziejności i niezaradności. Wiedział, że nic i u nikogo nie wyblaga, że cierpienie jego może przejść granice ludzkiego cierpienia, a i tak nic się nie zmieni.

Ale dziś zmęczył go ból. Nagle zdawało mu się, że zabrał wszystkie jego siły, że już nawet cierpieć nie może. Że potrafi ze spokojnym uśmiechem i wiarą w swe słowa napisać prawdziwy list. Pisał:

„Nie chcę Cię widzieć, teraz, ani nigdy... Jestem odważny i mogę to sobie powiedzieć. My już nie jesteśmy dla siebie. Ty pierwsza to zrozumiałaś. Nie, ja pierwszy. Dawno już. Ale Ty...

Może to i lepiej?... Nieraz myślałem... Ale rozumiesz, trudno mi było zdecydować się. Każda chwila miała dla mnie tyle wagi, że wołałem ją kraść. Tobie łatwiej było... Cóż prostszego, jak odejść od kogoś, kto cięży i hamuje, a iść swobodzie i radości naprzeciw?

Mogliśmy długo jeszcze żyć razem — na powierzchni naszych uczuć. Tybyś ukrywała swe młode pragnienia, a ja bym dalej starał się ludzi Ciebie, że dają wszystko co jest życiem i szczęściem. Nie odsłanialiśmy naszych serc, ukrywali w głębi najtajniejszych myśli... Tak przecież było kilka miesięcy!... Ty miałaś dość przywiązania, dość uczucia, czy współczucia, a ja dość egoizmu i pokory, że zamknąłem oczy na to mało coś mi dawała. Nie pozwoliłem sobie pamiętać, żeś mi kiedyś tyle dawała, wszystko, całą siebie. Tak może czynić człowiek, który już nic się od życia nie spodziewa. Ale ty się od życia spodziewałaś, więc...

Dziękuję Ci za to, żeś była wierna samej sobie. I za to żeś tak wczesnie odeszła. To jedno więcej szczęście, jakie mi dałaś. Choć i tak mi wstyd... Najgorszy wstyd — wobec samego siebie. Przypomina mi się góralka z „Sezonowej Miłości“. Tak się z niej kiedyś śmiałaś! Później byłoby jeszcze gorzej. Czuliśmy nietylko wstyd, ale i żal do Ciebie. Nie stanęły między nami góry kłamstwa, nie oddzieliły rzeki przebiegłości, nie

Ale litery, słowa, myśli same nie przemówią. Czytać, to znaczy, wyjść książce naprzeciw. Zależnie od tego, z czym się przyjdzie, dozna się tych lub innych wrażeń. Są złe momenty do czytania najlepszych rzeczy...

Nie udawa się Henrykowi próba. Gdy zaczął przyglądać się historii biednej Emmy, poczuł, że nie patrzy na nią swem i oczyma z przed dwu lat, ani ówczesnem i oczyma Krzysi. Wiedział, że dziś byłaby pobłażliwszą... Że już dawnej Krzysi tu nie znajdzie... I zobaczył, że w książce jest nie to, czego w niej szukamy, ale to co jest w nas. W każdej zadrukowanej bibule znaleźć można wszystko, co się chce. Swoje przeszłe i przyszłe dzieje. Im łatwiej siebie odnajdujemy, tem więcej autora kochamy. Z niepokojem, z drżeniem wewnętrznego lęku czytamy takie książki. I dlatego, za każdym czytaniem w tej samej książce, spotkać możemy zawsze coś innego.

Położył Flauberta na właściwem mu miejscu w bibliotece. Pani Bovary nie była mu już potrzebna. Nie była mu pomocną. Zawiodła jego oczekiwanie. Nie była mu przyjacielem. Sądził, że naszeptywać będzie zapomniane myśli i obrazy, a ona przypominała tylko, że jest wszystko inaczej. Była mu wrogiem...

A inne książki? W Zakopanem mówił Krzysi, że przeczytałby z przyjemnością wszystko, co w młodości czytał z musu: z subtelnością epikurejczyka tłumaczył jej, że prawdziwi wielbiciele książki czytają bez planu, bez systemu. I że na tem polega rozkosz posiadania bogatej biblioteki — móc czytać w każdej chwili każdego autora, którego się chce... Tylko leniwie ręką sięgnąć...

Może więc teraz? To będą rzeczy dalekie, takie odenwane od niego i jego spraw i myśli...

Ale stare książki są jeszcze bardziej przewidujące... one mieszczą w sobie wszystkie możliwości uczuciowe, od początku, aż po koniec świata. Są jak wino — im dłużej leżą, tem mocniejsze.

Nie mógł bezkarnie wziąć do ręki żadnej książki. Przestał wogóle czytać.

Więc co robić? Człowiek najbardziej cierpiący musi gdzieś mieszkać, jakoś sobie dzień każdy w jego koniecznościach życiowych ułożyć. Tak, czemś zapełnić dni trwające od rana do wieczora i te głupie, bezsenne, bez końca noce. W tych zaś warunkach i z takim samym sobą niepodobna istnieć.

Właśnie w tych warunkach. Nieraz już myślał o tem, że warunki są złe. Państwo czy społeczeństwo wszystkich otacza swą opieką: pragnący rozkoszy znajdzie domy jej poświęcone, obłąkany — sanatorja, chory — wszelkiego rodzaju szpitale.

Tylko człowiek cierpiący, niema gdzieby głowę złożyć.

Drzewa płaszczem mchu okrywają się od północy, tylko on nie ma czem odgrodzić się od złego...

On też potrzebuje względów, on też jest czemś nienormalnem, po za nawias życia wyrzuconym. Materacuje się pokoje dla furjatów, buduje sale o linjach okrągłych, bez żadnego kąta, żeby nikt, w nagłym przystępie szaleństwa łba sobie nie rozwałił, jednak, na każdym kroku drażnić człowieka nieszczęśliwego, ciekawem pytaniem, czy spojrzeniem niedyskretnem, bezmyślną pociechą, lub banalnem współczuciem. A takim ciąglem rozbijaniem sobie głowy jest otoczenie obojętnych, a jeszcze więcej, nie rozumiejących go ludzi.

Drażni go i niecierpliwi człowiek, co nie zna lęku... A za lękiem idzie rozpacz... Tu już chyba umysłowi ludzkiemu odbiera wdzięk. Rozpacz, która wszystko zabija, która świat cały odziera z jego wartości. Dla kogoś, kto bardzo cierpi nie istnieje nic, prócz jego cierpienia. Zapomina o wszystkim, bo o jednym zapomnieć nie może. Rozpacz-uczucie najbardziej bezpłodne... egoistyczne... Człowiek szczęśliwy idzie do wszystkiego z otwartemi rękami, swoją radością mógłby obdzielić cały ród ludzki, ten co cierpi, nie widzi cudzego cierpienia, obojętnem mu jest wszystko, co nie jest jego udreżoną duszą.

On to wie najlepiej... Bo tak się męczył całe dni, tygodnie... Teraz już nie. Teraz już jest zrezygnowany. I może nawet szczęśliwy w swej rezygnacji? W każdym razie spokojny... Uśmiechnął się pogardliwie... wiedział, jak dalece jest to nieprawdą...

Ale przynajmniej jest sprawiedliwy, może być względem niej sprawiedliwy. Cóż ona temu winna? Człowiek wogóle żadnej winy za zmianę swych uczuć nie ponosi.

Ona nie winna, że z drzewa ich miłości liść po liściu upadał. Że co dnia, coś z ich uczucia odchodziło? Nie z jego. Jego uczucie zawsze było takie same i takim będzie. Ale ich uczucie nie było od niego zależne. Stworzyli je oboje i oboje powinni byli... Ale z chwilą gdy ona... Co ich czekało? Co mogło nowego przyjść? Miłość tylko wtedy może być trwałą, gdy jest wciąż inną. Jak morze — zawsze to samo, a codzienienne. A ich miłość? W najlepszym razie powtarzałyby się. To już złe. W miłości, niiby w enocie, kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Ona nie chciała już nic nowego, a on, wbrew jej woli, nie miał sił... Nie miał sił przewyciężyć jej oporu. Jedno mogło odświeżyć, odmłodzić ich stosunek — dziecko.

Ale ona dziecka nie pragnęła. Była za młodą na matkę. Kiedyś... z pewnością kiedyś będzie bardzo kochać swoje dziecko. Teraz zamadto kocha siebie. Może i na żonę zamłoda?...

Musiał z rąk wypuścić ster miłości. Przyszła jakaś zła fala i zaniósła ją na wodne odmęty. A przecież, tak niedawno jeszcze... Był czas, gdy byli na jeden ton nastroszeni... Taki, jaki on podał. On ją, nieznającą świata, prowadził, gdzie chciał, a ona szła, ciekawa i wierząca każdemu jego słowu. Dusza ich, myśli, uczucia, płątały się łączyły, jak w chwilach miłosnych umiesień płaczą się ręce, nogi, usta... Byli ciągle razem, w sobie, przenikali się wzajem, bez słów, wiedzieli o sobie wszystko, co wiedzieć w miłości jest wolno. To najważniejsze, co jest samą miłością...

Aż kiedyś przestali patrzeć w głąb swych serc — tam mogą być męty. Dawniej, gdy szukali, znajdowali drogie kamienie. A potem stali się zagadkami i niespodziankami — choć niegdyś żadnych tajemnic nie mieli. Zaczęli koło siebie chodzić po omacku lub zdaleka, usuwając się od miejsc i słów, które wydały im się niebezpieczne. Przed zrobieniem każdego kroku próbowali, badali grunt. Chwile miłosnych zbliżeń stawały się raczej chwilami wahań i pytań, niż zwierzeń i radosnego oddania się dusz. Byli na tyle kulturalni i przywiązani do siebie, że mogli to zatuszować, ukryć. Życie szło nadal dobre i ciche, tylko stało się zupełnie powierzchowne.

Patrzył daleko — jakby rozsuwał się przed nim obraz przeżytych dni. Kiedy był szczęśliwy? Może tylko dwa pierwsze lata? A potem, to już tylko przygotowanie do rozstania. Przygotowanie chodzące na palcach, bardzo okrężnymi ścieżkami, ale wytrwale dążące do celu. I dobrze. Cóż, gdy rozeszły się drogi serc, niech drogi życia też się rozejdą. Miłość jest piękna tylko u swego po-

czątku. Potem jest brzydka i smutna. Im smutniejsza tem brzydsza. A to dlatego, że ludzie nigdy nie rozstają się zawcześnie. Czasem w porę. Ale okazuje się potem, że i to było zapóźno. Il faut quitter les choses un peu avant qu'elle nous quittent.

Jak szalenie jest rozsądny... Jak wszystko rozumie... Jak logicznie umie wytłumaczyć i udowodnić. Ale cóż mu z tego, że z logiką przychodzi do życia? Czy przez to choć cokolwiek lżej? Cokolwiek mniej cierpi? Nagle zdawało mu się, że wszystkie jego wywody, jeden po drugim, upadają. Nie ma racji. Od początku do końca... Ani odrobiny zdrowego sensu... Jest wręcz przeciwnie... Krańcowo przeciwnie... Jeszcze będzie dobrze... Już jest dobrze...

Zerwał się gwałtownie. Znowu chce się ludzi? Jeszcze chce się ludzi. Ze złością, z gniewem, tonem rozkazu, jak do obcego człowieka począł mówić do siebie. Mówił powoli, wyraźnie, pragnąc wbić w mózg każde słowo:

„Milcz ty głupie, sponiewierane serce. Milcz! Bądź mężne. Bądź dumne. Umiałeś być szczęśliwe, musisz umieć cierpieć. Miarą cierpienia mierzy się ogrom miłości“.

Wiedział już jak bardzo kochał...

XXIII

Pewnego dnia zakradł się do jej buduaru. Zamknął go na klucz, jak i sypialnię. Spał w gabinecie. „Tu nie tak gorąco“ — powiedział służącej. Służąca była sprytna, bo nie starała się udowodnić, że na łóżku jest chłodniej, niż na otomanie.

Sądził, że gdy się zbliży do tego wszystkiego, co tak z nią związane, to uwolni się od pewnych myśli i pewnych obrazów. Dotąd nie mógł! Serce jego i umysł nie zasilane nowymi wrażenia-

mi, wciąż dawne przetrwały. Nie było jednego oddechu bez niej, w dzień i w nocy. Za każdą chwilą życia coś się z niej plątało i przypominało. Zwyczajnie, przypadkowo zasłyszane słowo kryło w sobie tajemniczą treść wspomnienia. Było kiedyś jej słowem, miało swe specjalne znaczenie. Czasem myśl zahaczała o jakiś blahy przypadek, którego nigdy nie pamiętał, gdyby nie był z nią związany — dlatego stawał się on wydarzeniem doniosłym, wielomównym. Nie mógł uczynić kroku, nie mógł popatrzeć na żadną rzecz, dotknąć najmniejszego drobiazgu, bez jakiegoś skojarzenia myśli. A co gorsza, każda myśl, napozór od niej najdalej, prowadziła do niej.

Myśli te takie natrętne, tak w każdym kącie zaczajone, że wydawały się, niby małe, żywe istotki, które go dręczą dla swej własnej rozkoszy, lub z czyjegóż rozkazu. Pewno jednak nie z jej rozkazu... Mnóstwo ich było, chmara i przemocą wchodzili do mózgu. Miał ich pełną głowę, czuł fizyczny ich ciężar i nie mógł znaleźć miejsca na nic innego. Jakby się tam wogóle nie mogło zmieścić nic, prócz tych rzeczy. Zdarzało się, że nie był w stanie wyszukać w pamięci, jakiejś wiadomości, choćby najprostszej. Kiedyś napróżno chciał sobie przypomnieć, kto jest teraz prezesem ministrów? Usuwał w głąb wspomnienia, myśli z nią związane, jej obraz, swoje uczucia... Prostu z ciekawości, dla skontrolowania siebie. Przecież pozatem wszystkim jeszcze coś być musi? Nie — ona panowała tam niepodzielnie, nie dopuszczała innych wrażeń, przekreślała wszystko co się po za nią działo i dzieje. Jakże zresztą można było zapomnieć o życiu szczęścia, gdy nie spycha się każdego dnia, lecz każdym cieszy i smakuje? Przeklinał bogactwo przeżytych z nią czy przy niej wrażeń, które go zabierały całego, bez reszty, tak że dziś, gdy zo-

stał sam, niczem, prócz wspomnień duszy wypełnić nie może. Czasem mówił sobie: Dobrze. Będę myśleć tylko o tem. Pozwolę sobie. Tak długo, jak mi się zechce. Przemyśle wszystko od początku do końca. Dotknę każdej, najniebezpieczniejszej wątpliwości... Wezmę do ręki każde utracone szczęście... Spojrzę głęboko aż na dno każdego przeżycia. Przeorzę mózg mój plugiem pamięci, aż do najdalejzych rubieży. Przemyśle — i wszystko pozostanie po za mną.

Ale i to nic nie pomogło. Była to praca Penelopy. Podstępna noc niszczyła, co rozsądny dzień uczynił. Męka... Taka której oprzeć się nie można, ani obronić się nie można. Idzie dwiema drogami: z zewnątrz i z wewnątrz. Idzie uparcie, bez przerwy.

Może niebezpieczeństwo zewnętrzne gorsze? Może zwalczać je nie przez unikanie — cóż, ucieknij z ogrodu pełnego wspomnień, a już nowe wspomnienia czekają go na progu domu, — ale spojrzeć nieprzyjacielowi oko w oko? Pójść tam... Przychodzi ciągle, tam gdzie ona dnie całe spędzała, gdzie jest jej najwięcej i powoli, systematycznie, pokona w sobie pamięć o niej. Może uczucia chowane w głębi serca są naprawdę jak stare koronki w kącie skrzyni: będą tam leżeć długo, bardzo długo i wyglądać jak nowe, świeże, trwałe, ale gdy się je wydobędzie na światło, swobodę, powietrze, rozsypią się w rękach.

Uderzyło go duszne, zamałe powietrze pokoju. A przez to powietrze biegła ku niemu ulubiona woń jej perfum. Jej ostatnich perfum... Nalkoniec... Nareszcie... Woń, której nie pamiętał, a za którą tęskni. Odetchnął głęboko, jakby chciał się nią upoić. Była częścią jej, była nią sama... Ten lotny zapach ocierał się o jej ciało, mówił niezaprzeczenie, że tu była, przeżył ją, został, gdy ona odeszła.

Jak to dziwnie! Jakaś igraszka zmysłów... Zapomniał... I nie tylko nie mógł odtworzyć zapachu, ale nie umiał znaleźć jego nazwy. Pamiętał, że perfumy te kupowała za ostatniej bytności w Warszawie, na Kredytowej, w tym francuskim magazynie. Była niemi zachwycona i postanowiła nigdy innych nie używać. Opowiadała o kupczyku, który je podsunął przypadkiem — taki ładny francuzik z czarnymi wąsikami i bardzo purpurowymi ustami, — i upewniał, że teraz modne damy innych nie używają. Nie była to żadna ze starych, solidnych firm, Houbigan, Cotty, Gellé Frères, które znał, och, jak dobrze znał, ale nowa, powojenna.

Jakaś podstępna złośliwość wykreśliła mu je z pamięci. Ubolewał nad tem więcej, niż nad nieznamościami stosunków w Polsce. Miał wrażenie, że na tem miejscu, gdzie w mózgu winna leżeć odfotografowana mała karteczka z napisem, z tymi kilku słowami, napozór tak obojętnymi, a tak ważnymi, była pusta przestrzeń, czy tabula rasa. A przecież! Łudził się, że ta drobna rzecz, wspomnieniom o niej doda życia, i wśród tylu złudzeń ona jedna będzie istotną, rzeczywistą, którą objąć można zmysłami i odczuć zmysłami. Więc teraz...

Usiadł na kanapie, na której razem z nią... Przymknął oczy, jak to zawsze czynił... Ramienia jego nie dotknęła mała główka, nie przyleciał ku jego ustom ciepły jej oddech...

Rozglądał się wokoło. Tam, w rogu, biała puszysta skóra niedźwiedzia... Biała, puszysta skóra pamięta tyle... Jakiś wieczór jesienny, wolno spadający... A w tym wieczorze... Miała na sobie jedną ze swych „szatek“ kurtyzany. Zresztą, gdyby nawet miała niewinną granatową sukienkę dobranej wychowanej pani lub dostojną, pani do-

mu... Nie uszanowałby. I ona sama zapomniałaby o swej niewinności i swej wysokiej godności.

Zakrył twarz, ale nie mógł ani na chwilę uciec od tego obrazu. I wiedział, że już nigdy... Mógł wyć z bólu, łamać ręce, do krwi zacinać wargi... Mógł się tarzać po miękkim puszystym dywanie... Był sam, sam... I będzie sam.

A więc i teraz... Tylko brzydka, podstępna pamięć, bez chwili złudzenia — złudzenia już byłaby rozkoszą. Pamięć bez życia, pamięć martwa. Pamięć tego co już nigdy nie będzie — najgorsza męka. Gdyby przez chwilę... choćby nie widzieć nic, ale doznać, na jedno mgnienie oka...

Mówił do niej najczulszemi słowami, błagał, żeby przyszła. Wołał miłością serca, tęsknotą duszy pragnieniem zmysłów... Żeby tylko przez chwilę pochyliła się nad nim, oddechem pachnącym go owiała. Prosił ją szeptem, tylko dla niej zrozumiałemi prośbami. Zaklinał drżącym głosem na pamięć rzeczy niezapomnianych. Wyciągał niecierpliwie ręce, lub zamierał w oczekiwaniu... Nic... więc postanowił ją przymusić — swą wolą.

„Nic nie czujesz, nic nie widzisz, nic nie pragniesz, tylko wszystkimi siłami swej duszy i całym pragnieniem swego pragnienia chcesz ją zobaczyć. Zobacysz. Przyjść musi. Oprzeć się nie zdoła. Jeszcze chwila, jeszcze chwila, zobaczysz, widzisz? Już widzisz?“

Przymknięte oczy zaciska mocno, mocniej, coraz mocniej. Czarność, a po czerności widać się powoli zaczyna nie złotem przetykanego światła. Potem jakieś koła... Złoto coraz intensywniejsze... Złoto bizantyjskich świętych... A na tym tle ona... Nie, nie ona. Tylko mały obrazek zawieszony w powietrzu, niby fotografijska do legitymacji. W ciemnej sukni, z rąbkiem białego kołnierza u szyi, siedziała pracowicie pochylona nad biur-

kiem. Plecami do niego. Zarys jej ramion, znany ruch główki, węzeł nisko upiętych włosów... Twarzy nie widać... Tylko ta pewność, do bólu przemijająca pewność, że to przecie ona.

Złoto błędnąć zaczyna, koła znów wirują, wiązania śiatki płaczą się. Grzeczna Krysia powoli, powoli niknie.

Światło, gdy wstał z kanapki. A właściwie przyszedł tu w pewnym, określonym celu. Chciał odesłać Krzysi jej rzeczy. Przecież trzeba. Tak się zawsze robi. Ona nie prosiła, bo pocóżby ona... Ale trzeba. Szybkim, zdecydowanym krokiem poszedł do sypialni. Wziął pęk kluczy leżących na stoliku. Kładła je do małego koszyczka, bo inaczey wieczniemy szukała. I tak zresztą często szukała. Jakoż do tego koszyczka trudno było kluczem się dostać... Ręce mu drżały. Nie ma nic strasniejszego jak przetrząsać listy i szuflady... Ból... A po chwili rozumiał żarliwość pobożnych, gdy dotykają relikwii. Dotknie najbliższych pamiątek po niej...

Szeroko otworzył wielką szafę. Drzwi rozsunęły się usłużnie i przewinęła się tęcza materji. Czegoś szukał śpiesznie. Odrzucił pieszczotliwy i układny aksamit, jedwab zabłysnął, jak poruszona wiosem fala. Szukał ciemnej, granatowej sukienki — jej panińskiej jeszcze sukienki. Tej, w której przed chwilą ją widział. Rzadko używana wisiąca gdzieś w kącie. — Jest. Zdawało mu się, że kocha tę sukienkę, jakby była nią samą. Dziecko wesole, niewinne w niej tu przyjechało. Mała Krzysia, mała, kochana Krzysia...

Spotkał się tuż z popielatą suknią „dobrej gospodyni“, „pani domu“. Idąc na oględziny gospodarstwa, zawsze ją wkładała. Popielaty kolor taki dostojny, dodaje powagi. Dalej, cała masa, ni to sukien, ni to szlafroczków; poprostu powiedziałwszy szatek, stroików, wedle jego rysunków zrobio-

nych. A potem wykwinne tualety wizytowe i wieczorowe. Ta różowa, z teatru, po jednym występie, jakoś bardzo nieprzystojnie wyglądająca... Suknia balowa...

Cofnął szybko rękę, z uczuciem wstępu. Jakby dotknął czegoś lodowatego, obcego, dalekiego... Poczul, że tak dotykałby jej dzisiejszych sukien... Nie dla niego pomyślanych, nie przez niego widzianych.

Brakło mu sił, żeby, jak to sobie postanowił, pakować jej rzeczy. Ani nawet zniszczyć, spalić tę jedną suknię... Świadectwa smutku i bólu jeszcze trudniej usunąć, niż pamięć radości i szczęścia.

Usiadł przy jej biurku. Żeby nie móc jej więcej widzieć... W tej chwili nie chciałby... Nawet za największe rozkosze, nie zgodziłby się, żeby przyszła...

Ręką gładził połyskliwie mahoń i czerniałe okucie bronzu. Tak się cieszyła tem cackiem! Ogadywała przytem swoje biuro, biurzyno, przy którym dwa lata pracowała. Ogromne, żółte z zielonem sukmem, ohydne, takie straszne i takie nudne. A to jest śliczne i będzie zawsze najmiłsze. Ustawiała swoje graciki... Swoje biedne, panińskie graciki! Ubolewała, że nic jej z dawnej „kresowej“ świetności nie zostało... Wtedy otworzył serwantkę i prosił, by wybrała co chce mieć bliżej siebie. Śmiała się i cieszyła: już niczego nie żałuje, tu ma jeszcze piękniejsze rzeczy i naprawdę, na zawsze swoje.

Lubiła ten zegar z portretami frywolnych pań, to porcelanowe pudeleczko, za przegródki którego zakładała listy, ten kryształowy rostruchan, zawsze kwitnący kwiatami a posiadający moc tajemną. Wyczytała gdzieś, że wiedźmy i wróżki patrzeniem przez kryształ sprowadzić mogą nieszczęście. Może zabawiła się kiedyś we

wróżkę? Najbardziej lubiła okrągłe pudzermo z czerwonej laki, inkrustowane cyną: z jednej strony strzaskana kolumna, z drugiej empirowy wianuszek kwiatów. Chowala w nie najcenniejsze — marki.

Ach, a to jak tu przywędrowało? Mała srebrna urna, na cieniutkim łańcuszku, zakończonym kółeczkiem — żeby biedermajerowska elegantka na paluszku nosić mogła swe perfumy. Wykropkowane literki prababki i data — 1845 rok. Otworzył. Owiała go taka sama woń, którą czuł w całym pokoju tylko silniejsza, bardziej drażniąca. Czemu nie przyszło mu to na myśl, gdy tak tęsknił? Przecież razem, — jak to dobrze teraz pamięta! — obcinali gąbkę, nadając jej kształt taki, by ją urna zmieścić chciała, a potem nasycili nowymi perfumami.

Ale tutaj?... Przecież zawsze stała na tualecie? Widocznie przyniosła ją Krzysia w pośpiechu, w dzień wyjazdu. Tak, w pośpiechu. Stoi na brzeżku biurka. W tem postawieniu zakrzepły jej ruch... Zresztą wszystko tu coś z niej w sobie zatrzymało. Wszystko tak lubiła... Zostało... Zostanie... Wszystko ma tę samą barwę, ten sam kształt, ten sam wdzięk. Nic się nie zmieniło. Tylko uczucia są zmienne... Tylko rzeczy martwe są trwałe...

Nie wiedziała jakie ramki będą najodpowiedniejsze... Mierzyła, próbowała... Srebrne, czy mahoniowe? A potem nie mogła się zdecydować, gdzie umieścić „najdroższą“ fotografię. Tu lepiej światło pada, a tu lepiej widzieć go będzie... Wybrała jakiś złoty środek. A teraz „najdroższa“ fotografia stoi zapomniana, zakurzona. A Krzysia dobrze, że nie ma jej już przed oczyma...

Ile razy siedziała tak, jak dziś ją widział, pochylona nad wielką księgą, robiąca rachunki. Jak się nad nimi biedactwo męczyło! Ale trzeba

Uważała, że to jej obowiązek i że Sławoszewo runęłoby w gruzy, gdyby kiedy nie zapisała ile kosztuje kawa i po jakiej cenie sprzedawał ogrodnik w miasteczku kalafioru. A potem, prawda... Przypomnił sobie... To takie ważne! Potem już nie lubiła rachunków. Miły obowiązek stał się przykrym obowiązkiem. Otworzył środkową szufladę i znalazł tę słynną księgę. Jak się nad nią nieraz śmiał! Przerzucał kartkę po kartce... Pierwszy miesiąc po ślubie, co za kaligrafja! Mogłaby zachwycić najwybredniejszego rachmistrza. Podwójna buchalterja: tu debet, a tu credit. Napewno dostałaby nagrodę na konkursie. Dalej... przerzucił kilkadziesiąt stron... Literki nie są już takie okrągłe i zgrabne, przechylają się niedbale to w tę, to w tamtą stronę. Liczby też brzydsze. Dziesiątki nie zawsze leżą pod dżiesiątkami, setki pod setkami. Ale jeszcze jakoś to ujdzie. Nieźle. Trójka z plusem. A dalej coraz gorzej. Nawet nie było pod ręką bibuły. Prostu raz zdarzył się „żyd“, którego dawniej takby się wstydziła!

Od powrotu z Zakopanego rachunków nie ma wcale. Tylko jedna pozycja śpiesznie zapisana: 5 funtów cukru. I koniec. Może te pięć funtów cukru to punkt zwrotny w ich życiu?

Bardzo dobrze pamięta kiedy to było... Choć wbrew zasadom buchalterji brak daty. Powiedziała wstając od biurka i szybko zamykając książkę: „To takie nudne!“ Książkę schowała do szuflady i już do niej nie zaglądała. Dopiero on ją wyjął.

Przez całą wiosnę gospodarstwem też się nie zajmowała. A przecież poprzednich lat biegała ciągle patrzeć czy kurczaki już się wykluły i sama wyprawiała każdą partję kaczuszek, po raz pierwszy idących na wodę. To było takie zabawne! Jak u nich, tam, na Ukrainie... Miała do niego żal, że nie chciał asystować przy tej uroczysto-

ści. Potem, prawda, nawet ogród zaniedbała. A na... „ogledziny“ to go już nigdy nie zapraszała.

Wstał i przeszedł się po pokoju. Otworzył szeroko okno. Letni poranek jakby tylko czekał, aż go zaproszą... Ogarnął cały pokój. Świeży, ale ciepły powiew... Już jasno! Słychać wkoło budzące się życie. Nagła myśl, co ona teraz robi? Myśl natrętna, może dlatego, że dotąd poniechana. Tak się wgłębił w przeszłość, tak żył tą utraconą przeszłością, wyobraźnia jego pracowała tylko w tym kierunku, że nie zastanawiał się nad tem co jest. Chwilami z trudnością przypominał ją sobie. Dziś, tak, widział ją, ale zazwyczaj umiał odtworzyć pojedyncze rysy, jakiś w cieniu zagubiony profil, jedno spojrzenie, czasem tylko usta, czasem kawałek szyi, ruch oderwany od postaci, miękkość łni sukni. Ale w całości nie umiał tego wszystkiego stopić — szczegóły rozsypywały się w pamięci, jak piasek w ręku. Brakło czegoś, co jest między tem wszystkim, co łączy, — jej samej.

Gdy człowiek duszą odchodzi od drugiego człowieka, to zaraz wymyka mu się z oczu, otula w jakąś nieprzejrzaną mgłę, zjawia się tylko niby mistyczny tuman, niby fantom — szczególnie twarz, twarz najszybciej odwraca się. Może to samoobrona, może to resztką zdrowego instynktu odbiera obrazom plastykę wszelką — żeby ułatwić zapomnienie? Żeby wzbudzić przekonanie... Bo przecież to, czego ja nie widzę, nie powinno istnieć.

Zdawało mu się, że gdyby nawet mógł ją sobie, jak przed paru godzinami, tak jasno wyobrazić, że żyła w jego spojrzeniu, to nigdy na tle jej obecnego życia. Dzielila go od niej, obecnej, nieprawdopodobna obcość jej życia. Dzisiejszej Krzysi nie znał. Ta Krzysia, która chodziła po Warszawie, dumna ze swej swobody, była mu zupeł-

nie obojętną osobą. Gdyby mu ją kto pokazał, odwróciłby oczy. Nie mógł nawet pomyśleć, żeby ją pocałować?... Mogła sobie robić co chce i nie go to nie obchodzi. Tak mu się przynajmniej zdawało. Żal za tem co posiadał, co minęło, był tak żywy, dojmujący, że wykluczał możliwość za-
zdrosności.

Tak mu się przynajmniej zdawało. A chwile potem rozpacz. Przecież, gdy on tu cierpi, Krzysia, jakoś żyje, coś robi, mówi, może się śmieje? Co myśli? Już nie chodzi o to jakim jej życie, ale jakie myśli? Straszne. Jeden człowiek wglądać drugiemu w myśli nie może. Nietylko nie wie co on myśli, ale jak myśli. Nawet gdy są razem. Kiedyś mówiła, że to dobrze. Wzięła jej czarną „głowieńkę“, leżącą na białej poduszce i pytała: „Co myślisz?“ (Nie wiesz? Jak to dobrze! Nie dowiesz się“ — śmiała się, jakby z triumfem. Może tylko żartowała? Może to był jakiś moment złego przeciw niemu usposobienia, chemicznie wywabiony z pamięci nowymi przeżyciami. Zapomina się pod wpływem nowych wrażeń o odruchach swych uczuć, wykreśla się je i przekreśla za pomocą innych, które je zastąpiły — wycofały, zatarły, zmieniły. Nasza własna prawda jest dla nas samych zmienną i przejściową, dla innych jest trwałą i pewną. Bo kto tej drogi przebyć nie mógł, kto stoi u jej początku, obraca ciągle słowami, które już dziś dla nas pustemi i bez wartości. Ile razy smucił się jakimś powiedzeniem Krzysi, choć ono już dla niej było obce i nieznane. W ostatnich czasach, bo dawniej cieszyła się, że wszystko tak dobrze pamięta, że do każdej jej myśli wagę przywiązuje, że mogą przenikać się każdym drgnięciem i odcieniem duszy.

Co ona myśli? Myśli o nim? Musi. Życie ich spleciono, złączyło, dusze zahaczyły się tysiącami

zależnie. Ona tam, nawet daleko od niego, potrafiła o wspólne z nim przeżycia.

Ale coż z tego? Co mu z tego? Przecież każde szczęście polega na pewności i świadomości. Pociesza się, domyśla. Ale pewności niema. I nie może uchwycić bez wahań, bez wątpliwości, niezawodnie tego momentu, gdy myśli ich się spotykają, trącają, dotykają. A więc to tak, jakby tego momentu nie było.

Może lepiej żeby go nie było? Żeby spokojnie błądzić w tej okropnej pustce... Lepiej nawet żeby Krzysi nie było? Zdziwił się radośnie na to odkrycie. Tak, żeby jej nie było. Żeby, skoro jego być nie może, nie była nigdy niczyją. Żeby tak się coś stało... Umarła? Chociażby. Ale dlaczego miałaby umrzeć? Jest młoda. Zdrowa. Zabić ją? Uśmiechnął się do tej myśli. Potem byłby szczęśliwy. Ach, co by to była za rozkosz wiedzieć, że ona nie istnieje, że jej niema... Że nie można do niej tęsknić... I że nikt do niej nie tęskni.

Przecież wtedy — byłaby jego! odczuł pierwszy raz odczuł niezbitą pewność to co mu się dotąd fantazją poetycką wydawało. Między tym, kto zostaje przy życiu, a ukochaną przez niego istotą, umarłą, może być kontakt. Tak, duchów obcowanie. To takie proste, logiczne! Serce ludzkie nie może sobie wyobrazić, żeby miłość, zażyłość dusz i ciał, tajemnice dusz i ciał, mogły być zerwane. Dla tak drobnej przyczyny, jak czyjaś śmierć! To wszystko trwa, musi trwać, mniejsza o to w jakiej formie. Już w samej wierze, w samej świadomości jest szczęście. Gdyby Krzyśka umarła!

Był wesół, jak dziecko, które znalazło łatwe wyjście z niebezpieczeństwa. Podeszedł do okna. Oparł się o framugę. Patrzył się w budzący się ogród. Nagle zrozumiał... Tak, ale na to... On tego nigdy nie uczyni. Na to trzeba młodości. Odwagi młodości. Jak i do samobójstwa.

Zresztą teraz zapóźno. To mogłoby być tylko wtedy, gdy od niego odejść chciała... Teraz zapóźno. Śmierć nie rozdziela — ale życie rozdziela — wola ludzka rozdziela — na zawsze. Zaciśnięte ręce rozpaczliwie... Nawet gdyby teraz umarła... Tak, nawet gdyby... Już między nim a nią leżą nieprzebyte otchłanie. Teraz, to już wszystko jedno. Oddaliło ich, bezpowrotnie oddaliło od siebie te marne, drobne kilka miesięcy — nie razem. Miłość zerwała się i poszła w zapomnienie, istnieje już tylko w błędem, nieuchwytnym, bo jednostajnym wspomnieniu. Dla niej, bo pewno wspomnień swych nie odnawia, nie odświeża, nie wraca im życia pamięcią — wszystko to jakby nie było. Wspomnienie istnieje tylko w nas i przez nas i tylko w tej chwili, gdy żywa jest chęć odnowienia go. Teraz stała między nimi jego męka, której ona odczuć, pojąć, zrozumieć, ani nawet objąć nie jest w stanie. Bo na to potrzeba ją przeżyć. I jej życie, może niewinne, może obojętne, ale jej życie, obce mu i dalekie. To życie o którym dotąd prawie nie myślał, nad formą którego nie zastanawiał się, znaczenia którego nie doceniał. Teraz dopiero... I wie, że nie ma już ratunku.

XXIV

Cicha, słodka tęsknota. Zapomnieć jak było, zapomnieć o cierpieniu. Tylko myśleć o niej. Wziąć na ręce, jak małe dziecko, tulić, tulić bez końca. Owinać ramionami i poszeptać na uszko wiele, wiele słówek.

Zmrok zapadał. Szaro. Henryk zapalił papierosa, usiadł wygodnie w ulubionym fotelu. Zaczął myśleć, przypominać. Jakby komuś opowiadać:

Moja mała ma śliczne rączki; białe, drobne, silne. Takie właśnie, które najlepiej pieścić umieją.

Moja mała ma żwawe nóżki, umie chodzić, biegać, tańczyć...

Moja mała ma włosy długie i puszyste, a częściej je różnie, jak różną chce być i różne miewa nastroje. Grecki węzeł upina, żeby uwydatnić swój śliczny profil... Gładkie pasma układa na uszka, gdy jest melancholijna... Jak strojnisia empirowa umie rozsypać loczki i przepasać czoło złotą wstęgą. A „powojenna“ kokietka swoje floczki i kudełka nasuwa głęboko na policzki i ma pikantny wyraz twarzy.

A znacie tajemnice jej śmiechu? Z lada głupstewka, z drobnostki rozchychocze się niby mała dziewczynka tak, że jej niczem nie uspokoisz. Dystrygowana dama w salonie zadzwoni srebrem i urwie... W omocie ciszy nocnej, gdy jej nikt, nawet on, Ryś, nie widzi, pozwala wesołości swej igrać swawolnie, obietnic i pokus pełnej.

Jeden śmiech jej był mu wrogi — tryumfalny śmiech młodości i oczekiwania.

Moja mała oczy ma własne, to znaczy takie, jakich nikt nie ma. A oczu ma kilka par... Wszystkie jej oczy kocham — prócz tych, które odemnie ją odwiódły.

Wolne, nawpół zamarłe było serce.

Szedł ze spaceru. Bardzo dalekiego. Bardzo długo.

Czasem zdaje się człowiekowi, że żyje już bardzo długo i dawno idzie tą samą drogą. Bez celu. Żyd wieczny tułacz...

Dopiero siódma? Dzień wlecze się sennym krokiem. Któż wie, ile godzin ma dzień samotnego człowieka? Ile sekund na minutę wydzwania mu w uszach tęsknotę? A mówi się z ironią o kimś, kto prędko zapomina. Bo dla innych, ten czas, co nie był czasem męki i tęsknoty, szybko minał. Ale

czas smutku jest bez końca, trwa ciągle w każdej chwili. W wyobraźni, jak we śnie, w jednej chwili przeżyć można wiek cierpienia. A jeszcze każda chwila na tysiąc innych się dzieli...

Powrót do pustego domu. Do domu, w którym nikt nie czeka. I ta pewność, ten ból pewności, że gdziekolwiek pójdzie, dom jego zawsze będzie pusty. Niósł na plecach całe stopy, całe pokłady wspomnień, jej słów, jej uśmiechów. Zbierał je po drodze, gromadził, rosły za każdym krokiem... Tak mu ciężą, tak go przygniatają, że stał się drobny, przygarbiony, jak staruszka z bajki Anderse-
na, niosąca w tobole całe góry chrustu.

Czuł się bezradnym, niby małe, opuszczone dziecko, co lada chwila usiądzie na drodze i zacznie płakać drobnymi, rozbieganymi po twarzy łzami.

Nie, nie, nie poddawać się, nie poddać. Zebrał resztki sił. Jakimś nagle wyzwolenicznym ruchem chciał się otrząsnąć. Zrzucić to brzemię... Zrzucił.

Rozsypały się, rozbiegły myśli. Podniósł głowę, wyprostował plecy. Wolny! Ale nie na długo. Myśli poszeptaly coś ze sobą, porozumiały się i znów jęły go dreczyć. Szedł do parku, a one zanim. Krok w krok, tuż, tuż, niby małe zjadliwe pieski. Coraz bliżej, coraz bliżej. Zakreśliły łuk, zacieśniły łuk i wplotły go w swe męczeńskie, piekielne koło.

Oparł się o drzewo. Uczuł w sobie ból, tak dojmujący, że nieomal żywy... Ktoś go dławił, dusił. Skowyt latał od piersi do gardła, od gardła do piersi. Jak potępieniec na łańcuchu, gdy chce się wyrwać z uwięzi. Zaczęła się walka zażarta, mordercza, niby o śmierć i życie.

Henryk zaczął wargi mocno, do krwi, a potem gryzł je, żeby bolały. Może tamto boleć nie będzie? Może zatrzyma na uwięzi tego wroga, co pierś chce mu rozsadzić?

Ale skrwawione usta odmawiają posłuszeństwa... Już nie może się opanować... Wykrzywił twarz w jakiś bolesny grymas — nie pomaga. Nic nie pomaga. Wybuchnął głupim, bezmyślnym, idjotycznym śmiechem. Śmiał się do samego siebie — z samego siebie... Byle nie z płaczem, nie skowyttem płaczu...

Śmiech jego, uragowisko śmiechu, odbijał się od czarnych, wilgotnych drzew i biegł gdzieś w głąb parku, wyjąc przeciągle.

Raz przyszła. O szarej godzinie. Nie oczekiwana. Nie wołana. Przyszła w nagłym pragnieniu... Przetłotnem, niespodzianem, krótkim... Jak mgnienie oka... Może dla niej samej nieuchwytnym? Ale dusza jego wciąż czuwająca, na straży, była jaknajdoskonalsza klisza fotograficzna, jaknajwrażliwsza płyta gramofonu... Uchwyciła. Zatrzymała.

Miał ją... I nie taką, jak kiedyś, gdy wyczarował ją swą wolą — daleka, obca, obojętna, martwy obrazek, ale żywa, ciepła, przytulna. Z niezapomnianą ponętą ust, z pieszczotliwymi dotknięciami rąk, z pamięcią najtajniejszych tajemnic, z rozkoszą pieszczot, rozszepkana słowami miłości.

Leżała mu na piersiach jej postać zwiewna, trzymał w ramionach jej urojenie, sercu jego, bijącemu oszalałemu tętnem, biło w odpowiedzi jej serce, pachniały mu po twarzy rozsypane włosy, przybliżał się, całował, odchodził i znów wracał żar jej warg.

Nie otworzył oczu, żeby jej nie spłoszyć, choć już dawno odeszła.

Chciało mu się do niej pisać. O wszystkim. Wziąć wielki kawał papieru i pozwolić myślom po nim spacerować. Mówić do niej, mówić o sobie, przez tyle miesięcy milczał! Byłyby tam żale,

skargi? Może. Nie, pewno nie. Prostu drobne, blahe opowiadanie, miłe przez to, że się je jej opowiada. Jakieś wspomnienia, zupełnie zresztą niewinne, kilka uśmiechów czy żarcików, tu i ówdzie przemycona pieszczota słów. Na zakończenie może jakiś pocałunek. Raczej z przyzwyczajenia, konwenansu, niż z chęci wyzyskania sytuacji.

Przecież mu odpowie, bo jest dobra i dużo powie, bo jest naiwna. A może już nie jest naiwna? W każdym razie jest dobra. Przyszło mu coś ze siebie, kawałeczek siebie, a choćby ten papier, na który patrzyła, który dotykała. Jej mała ręczka, po sercu jej najcudowniejszy w świecie instrument wyśpiewa mu kilka melodji... Nowych, nieznanych... Których się boi, które tak usłyszeć pragnął...

Widział ją, jak niesie list, wrzuca go do puszki. Wybiera pewną, bo puszki są pewne i niepewne, a potem ten liścik jedzie, razem z tysiącem innych, nikomu niepotrzebnych, jedzie, a w tej małej kopercie zamknięte czyjeś szczęście.

Nie — nie wolno mu pisać do niej najniewinniejszych napozór listów. Zabronił sobie i dotrzyma świącie.

Listem wślizgnąłby się w jej życie, podstępnie dostał do nowego jej domu, poszedł na rekonesans, badał ją i śledził. Gdzieś między wierszami, niewidzialnym tajemnym atramentem serca, trwałszym niż tusz chiński, wyznałby jej swój ból, smutek, nędzę i mękę, mówiłby — też między wierszami — że kocha ją jak dawniej, jak zawsze kochać będzie, że szaleństwem jest samotność i okrucieństwem opuszczenie.

Jeśli nie wolno wszystkiego, nie wolno nic.

Czasem zdawało mu się, że ból nie boli, tęsknota nie tęskni, myśl o niej nie myśli. Niema

Krzysi i może nigdy nie była? Ani tu, ani gdzieindziej. A właściwie nie było ich obojga — dawnych. Miłość tworzy ludzi takimi, jakimi są w stosunku do kochanej osoby, kształtuje zmysły, charakter, nawet zewnętrzność. Potem, gdy miłość minie, odejście, znów wraca się do swej dawnej skóry, do swych przyzwyczajęń, nałogów. Albo jeśli przestrzeń, dzieląca od tamtego czasu — zadaleka, jeśli point de départ ginie we mgle, jeśli wytworzyła się tak wielka i tak głęboka w duszy przepaść, że przetrząść mostu z jednego brzegu na drugi nie można, każdy staje się nowym człowiekiem.

Dobrze, więc nowy człowiek jest przeciw obcy i obojętny minionym przeżyciem. Ma inne uczucia, inne pragnienia i ani odrobiny cierpieć nie może z powodów, dla których poprzednik jego umierał z bólu. Jak to szczęśliwie!...

Parę lat wykreślone z życia. Nie istniały. Na miejscu ich pustka, obojętność.

Po jednej rzeczy poznał, że pod tą pustką coś leży, coś się ukrywa, coś schowane możliwie głęboko. Po tem, że mu się nic nie chciało, nic go nie zajmowało, nic, na całym świecie nie kusilo.

Napróżno myślał coby się mogło stać, przyjść, coby go zelektryzowało, porwało? Jaki głos zawołać, jaka obietnica pociągnąć, żeby się otrząsnął z odrętwienia?

Na każde pytanie odpowiadał sobie: nie to. W końcu nie pytał. Wiedział, że nic.

XXV

Postanowił spróbować jednej rzeczy: wziąć siebie w karby. Prostu zaprowadzić rygor, dyscyplinę. Dla ciała, a przez to i dla duszy. W pruski porządek ująć swe bezładne dni, bez godzin, bez przymusu. Nawet, kto wie, może dobrze na-

писа себе розклад працы? Як учніак. Не, не як учніак, лепей цягле трымаць ся tego ніеміецкага сістэму.

Przypomniał sobie, że gdy był w Berlinie na uniwersytecie, z kolegami śmiał się z sentencji, któremi ozdobiono cały pensjonat. Pierwsza strofona księgi rachunkowej była pod hasłem Lutra: Ein fester Burg ist unser Gott. Gospodyni, dla przestrogi i zachęty, by młodzi ludzie siedzieli w domu, na półeczkach, wiszących przy umywalce wypaliła średniowieczną gotyką:

Ob Nord ob Süd

Ob Ost ob West

Daheim am best!

Na spodeczkach, które kładziono obok talerzy, gdy na obiad były kurczęta, ryby, lub szparagi, w symbolicznym wianuszkun niezapominajek widniał napis: Knochen und Schalen. Raz, ze złości, chciał nawet stłuc taki spodeczek, ale bał się, że zrobi zbyt wielką przykrość Gretchen, która była młła i zgrabna, że, na czas jakiś zachęta niefrasobliwej matki była zbyt uczynna, bo i tak siedział ciągle w domu. Zapowiedział tylko małej, że jeśli raz jeszcze da mu tak wymowne spodeczki, to w niedzielę nie pójdzie na spacer i nie dostanie więcej Kuchen mit Schlagsanne.

Ale te wszystkie „dla pamięci“ nie były takie głupie. Miały swe znaczenie, jak się widać pewne prawdy powtarza, to się w nie w końcu uwierzy. Niemcy uwierzyli. Wyrobili w sobie wiarę w Boga, cnoty domowe, no i pewną potrzebę zewnętrznej kultury. Ujęli dusze w narzucone zgóry normy... Przyszła wojna i w łeb cała dyscyplina wzięła? Tak, ale jednostki, to co innego, dalej żyją, jakby żyły w państwie bojaźni bożej. Więc i on będzie starał się prowadzić takie życie, jakieby w jego warunkach prowadził uczciwy, solidny „bosz“.

który na wszystko ma przeznaczone specjalnie godziny — nawet na tęsknotę.

Nazajutrz Henryk wstał rano, rzeczywiście, najgorsze to leżenie bez końca — wstawać wczesnie, nie ociągać się, wycierać całe ciało zimną wodą, najlepiej z solą. Po śniadaniu był na dziedzińcu i w polu, a potem przyszła pora czytania. Najpierw zabrał się do gazet. Zwykle przeglądał je wieczorem, bardzo pobieżnie, gdy przychodziła poczta. Właściwie tylko przerzucał. A przecież dawniej bardzo lubił pisma i żywo interesował się polityką. Obecnie rzeczy te są coraz bardziej ciekawe, świat się odbudowuje a zarazem przeistacza: nowy świat się tworzy.

Patrzył wciąż na zegar, czy już jedenasta i czy od tych bardzo zajmujących rzeczy przejść można do innych.

Dwie godziny przeznaczył sobie na porządkowanie biblioteki. Dawno myśleli z Krzysią o tem, żeby zaprowadzić ład wśród książek, kilka razy nawet do tego się zabierali, ale jakoś do końca nigdy nie doszło. Właściwie to utknęło w samym początku. Bo, prawdę powiedziawszy, ona nie nadawała się do systematycznej pracy. Dobrze ktoś powiedział, że kobieta jest wrogiem książki. Najbardziej kulturalna nawet w razie potrzeby z najpiękniejszego wydania wyrwie kartkę na piloty. Ona wprawdzie tego nigdy nie uczyniła, ale gdy tylko zabrała się do pracy, zaraz znalazła jakąś ciekawą książkę i swój grecki nosek w nią wściubiła.

Będzie teraz bardzo dużo roboty. Trzebaby według jakiegoś systemu... Pamiętał, jak nad tem się namyślali. Czytali „Révolte des Anges“ i żartowali czyby nie pójść w ślady tego zacnego pana Sargette, który wynalazł wspaniałą metodę, tylko że się sam w niej potem zgubił. I nie mógł nawet dać sobie rady z tak mało skomplikowaną

sygnaturą: R — 3214 ———. Jak się Krzysia śmiała, jak małe dziecko się śmiało!... głupie wspomnienie zupełnie niepotrzebnie rozrywa myśli. Możeby skatalogować książki wedle systemu brukselskiego, uchwalonego ongiś na zjeździe bibliotekarzy? Nie, najlepiej wprowadzić jakiś własny i uporządkować półki. Numeracja? Autorzy? Dzieła? Połączyć to wszystko razem żeby...

A niby po co? Odwrócił się szybko. Zdawało mu się, że posłyszał głos, że ktoś tu obok stoi, jego wróg i chce zniszczyć tę „zbożną“ pracę.

Podszedł do biurka. Zaczął otwierać jedną szufladę za drugą, przeszukał wszystkie przegródki. Jest — długie, wązkie pudełko, małe zgrabne kartki z grubego welinu. Najlepszy system — jej system. Kiedyś, w wielkim zapale pocięła papier i obiecała spisać całą bibliotekę. Ale wykaliografowała tylko najnowszy nabytek.

Tak, pamięta. Pamięta kiedy przyszła książka prof. Ossendowskiego, jak ją zapisywała. Gniewał się, że od końca zaczyna, i że kartki muszą być dla wszystkich, nie dla wybranych. Ale ona sprzeczała się, że to musi być ponad inne wywyższone, bo autor poświęca je „Elear—Bałasyr“, żonie-obraczce. Jaka dziecinna! Nie, nie była wtedy dziecinna, gdy to mówiła. Była tylko inna, niż teraz. Czują się żoną i dlatego...

Służący poprosił na obiad. Jak to dobrze! Już z biblioteką koniec. Naturalnie na dziś.

Po obiedzie leżał na leżaku, na werandzie. Trzeba trochę mniej przebywać w gabinecie, a więcej na świeżem powietrzu. Godzina lżejszej lektury. Nie czytał. Czuł się znużony. Ale jakiś spokojny. Dotąd dręczyła go myśl, co z dniem zrobić. Każda nadchodząca godzina straszyla go, a teraz wiedział, że po podwieczorku pójdzie na spacer. I nie dlatego, że mu się chce, a ostatecznie może nie pójść — ale dlatego, że pójść musi.

Będzie dużo chodził. Jak Krzysia. Mówiła nieraz o rozkoszy chodzenia. On w ostatnich latach nie wiele się ruszał. Nieraz za to na niego się gniewała. Wprawdzie w jesieni, gdy byli w Warszawie doktor znalazł chorobę serca, ale ona nie bardzo lubiła tę chorobę. Szczególniej, gdy nie chciał pojechać na bal. Właściwie teraz powinien się szanować i nie męczyć, z sercem coraz gorzej. Mniejsza o to. Będzie dużo chodzić. Będzie po kolei chodzić na wszystkie najwyższe punkta swego Sławoszewa. Krzysia tak się niemi zachwycała! Wprawdzie tęskniła do stepów, ale mówiła, że tu tak malowniczo...

Szedł powoli, krokiem, który sobie nazaczył. Ma dziś iść przez las, do *Belvedere* Krzysi. Tak jest w programie dnia. Powoli, żeby się zbyt nie zmęczyć — ma na to przeznaczone dwie godziny czasu. A myśleć? Myśleć może o czemkolwiek łatwym i nieobowiązującym.

Już jedna godzina upłynęła. Był zachwycony swoją subordynacją — samemu sobie. I myślał tak jak było trzeba, o rzeczach, które były wkoło niego — nie niepokojących.

Powoli kroki jego i myśli zaczęły schodzić z naznaczonej sobie drogi. Zboczył w las. Zapuszczał się coraz głębiej, jakiemiś ścieżkami, na których nie było żadnych śladów. Tylko panoszyły się po nich paprocie i rosły różne śmieszne grzyby. Zamiast poszukać w pamięci, jak mogą się one nazywać po łacinie, zaczął rozmyślać, jakieby im Krzysia nazwy dawała? Ten mały grzybek z czerwonym denkiem, to z pewnością byłby naparsteczek, a ten sztywny, to wyrurkowany czepek siostry Elżbietanki, która kiedyś po kweście przyjeżdżała.

Nie rozglądał się, nie szukał, wiedział, że dojdzie... Kiedyś, w jednym z niezliczonych dni ra-

dości byli tu i na białej korze brzozy wycięli swe litery. Czynie to wszyscy przed nimi i wszyscy po nich czynić to będą. Mieli jednak jakąś dziwną wstydlivość wobec ludzi, którzy tu nigdy nie przyjdą, wobec oczu, które tego nigdy nie zobaczą... Spletli w monogramie swe litery z najtajniejszego słownika swej miłości wyjęte... żeby nikt się nie domyślił, że to oni — byli tu szczęśliwi.

Wracał ospale, ciągnąc za sobą nogi, jak niewolnik, który się od jarzma nie wyswobodzi. Wytwać musi. Podchodząc do domu podniósł głowę i spokojnie wydał rozporządzenie, żeby rządca po kolacji przyszedł do niego. Rzeczywiście gospodarstwo ogromnie zaniedbał...

A, i ta pańszczyzna już odbyta... Teraz ma czas dla siebie. Tak, to mu się należy. Po dniu nie tyle pracowicie, co kornie spędzonym. Może sobie czytać, pisać, wogóle czynić co mu się podobają? A jeżeli mu się nie podoba? To nie. Nic mu się nie podoba. On zresztą przez cały dzień nie chciał, tylko wszystko musiał. Więc zrobić ostatni wysiłek: położyć się na otomanie, wziąć jakąś miłą książkę i czytać. Wiersz po wierszu śledzić, kartkę po kartce przewracać, słowem czytać. Wiersz po wierszu oczy śledzą, kartka po kartce wolno się przewraca. Ale nic nie widzi i nic nie wie.

Przecież to dawniej o tej porze... Właśnie teraz... Ona tu przybiegała, stawiała za jego plecami, ocierała swój „lepek“, swoją „lepetynkę“ o jego głowę i mówiła cicho, do ucha, wielką tajemnicę: „Rzuć tą nudną książkę, przyjdź prędko, bo inaczej będę spać...“

Rzucił książkę... Odwrócił się do ściany, głowa gdzieś leci, leci w dół, na samo dno niedoli i męki. Nikt nie jest w stanie opowiedzieć tego

straszego bólu, gdy się wie, że coś na zawsze na wieki, wprawdzie, nie w słowie, stracone.

Nazajutrz znów życie bez przymusu, bez goździn, bez rygoru, tylko z tym samym bólem.

XXVI

Przyszła mu myśl nadzwyczajna. I taka prosta. Nie mógł Krzysi widzieć — nie chciał jej widzieć. Nawet gdyby ona zapragnęła. Nie, przecież nie zapragnie. Ale jest możliwą jedna rzecz, któraby wszystko zmieniła w sposób naturalny. Rzecz częsta, nieomal codzienna. Wobec której, to co ich dzieliło, stałoby się drobnostką, nieporozumieniem. Choroba. Gdyby Krzysia zachorowała! Wtedy mógłby, na każde wezwanie, nawet nie jej... Nagle wydało mu się, że największe szczęście, jakie go jeszcze spotkać mogło — to choroba Krzysi. Kiedyś, takim szczęściem wydała mu się jej śmierć. Ale to było barbarzyństwo, brak serca... Choroba, to co innego, choroby zwykle dobrze się kończą...

Przyjdzie depesza od niej, nie lepiej od Marji: ona nawet wiedzieć nie będzie: „Krzysia chora“. Jechać, co prędzej jechać, nie ma czasu do stracenia, ani chwili. Gorączkował się, denerwował, niepokoił, jakby zła wiadomość leżała na jego biurku.

Ach, jaka długa bez końca ta przestrzeń między Sławoszewem a Warszawą... Ile może stać się złego przez ten czas? Przecież depesza nic nie mówi o tem jaka choroba i jaki stan. Pewnie groźny, może... beznadziejny?

Prędzej, prędzej, wszystko zbyt powoli się rusza — nawet myśl, która go do niej wiedzie. Co za uczucie ulgi na widok znanej bramy, znanych

schodów, znanych drzwi! Bo Krzysia mieszka w tym domu, gdzie mieszkała dawniej — i skąd a sobie zabrał. Najlepiej, najintensywniej, najżywiej wyobrazić sobie można, to co się chce wyobrazić — na znanem tle. Marzenie jak i sen lubi posługiwać się podpórkami rzeczywistości. Przekręca klucz w drzwiach, skąd ma ten klucz, nie wie. W marzeniu, jak we śnie, jakoś łatwo omija się wszelkie przeszkody, które w życiu wydają się nie do pokonania.

— Kto tam?

Przecież słyszy jej głos, przecież nikt mu nie wytłumaczy, że to tylko złudzenie.

— To ja, Krzyska.

Nie minuta, nie sekunda, jedno uderzenie serca, a już jest przy jej łóżku. Klęka i zakrywa sobie twarz. Nie ma odwagi spojrzeć, nie ma odwagi. A po co zresztą patrzeć, kiedy na tem wielkiem łóżku, musi być mała Krzysia, z rozsypanymi po poduszce włoskami, bladą twarzyczką, miluchno uśmiechnięta, z kompresem na szyjce. Taki chory kotek z angielskich pocztówek.

— Wołałaś mnie, Krzychma?

— Nie wołałam.

— A chciałaś żebym przyszedł?

— Chciałam.

— A dlaczego nie wołałaś?

— Bo się bałam, że nie przyjdiesz.

— Jak mogłaś, jak mogłaś. —

Na włosach miękkie, pieszczotliwe dotknięcia jej małych rąk i dawno nie mówione, wciąż w duszy słyszane słowa:

— Bo jesteś ty, mój Ryś, a ja jestem twoja Krzysia.

Tak, przecież jest on, jej Ryś, a ona jedyna w świecie Krzysia.

Tylko, że między nimi stało wszystko — i oni sami.

XXVII

Był tego dnia szalenie zdenerwowany. Nie umiał znaleźć miejsca, poprostu nie mógł dać sobie rady ze sobą. Miał wrażenie, że to nie on, tylko jego pałuba, jakiś ciężki, bezduszny manekin, który właściwie należałoby wyrzucić z domu. Zamknął się w gabinecie. Chodził z kąta w kąt. Co robić? Czemu się zająć.

Od jakiegoś czasu nie mógł nawet czytać. A to dlatego, że użył książki, jako lekarstwa. Przyszła mu kiedyś myśl, że ma jeszcze jedno źródło odnowienia wspomnień, chwytania jej duszy, przyciągania jej do siebie. Powtórzą się w nim te same myśli, które z nią przeżywał, staną, jasne i żywe, wszystkie drobne chwile szczęścia, zjawia się pamięci wyraźne i niezamącone uczucia.

Przeczytać to, co z nią czytał. Co to była za rozkosz, razem, jednocześnie, ze skarbcza rzeczy zewnętrznych wprowadzać coś pod dach swej duszy. Wiedział, że to brzmi śmiesznie, ale było to dla niego pewnego rodzaju mistycznymi zaślubinami.

Zaczął od „Madame Bovary“. Czytali ją w pierwszym roku po ślubie, gdy naiwnej Krzyśce wiele jeszcze trzeba było tłumaczyć. A niektórych rzeczy, choć je bardzo dokładnie tłumaczył, nie mogła zrozumieć, ani odczuć... Poprostu oburzała się. Nigdyby, jak krytyka i obrażona moralność, nie wytoczyła autorowi procesu o tę nie-szczęsną scenę w karecie. Utrzymywała, że trzeba być bardzo „zepsutym“, by posadzać zakochaną parę, że pocałunki jej nie wystarczały.



154445